

AGORA SENIORA



Felietony z czasów
pandemii

W podróży po Japonii

Między Mazurami
a Podlasiem

Zorza polarna na urodziny

Moda seniorów

Przemoc w rodzinie

Zupa na ścierce



Redaktor naczelna
Magda Wieteska

Drodzy Czytelnicy!

Oddajemy w Państwa ręce pierwszy numer „Agory Seniora” – czasopisma tworzonego przez ludzi dojrzałych, uczestników warsztatów literacko-dziennikarskich na Uniwersytecie Trzeciego Wieku w Uniwersytecie Wrocławskim prowadzonych przez Magdę Wieteską, andragoga, dziennikarkę i pisarkę. Nasz magazyn powstał w efekcie dyskusji nad wieloma tematami, z refleksji, przemyśleń i wspomnień. Znajdziecie w nim felietony związane z czasem pandemii, wspomnienia z podróży do bliższych i dalszych zakątków świata, reportaże, a także prozę i poezję wartą lektury. Przeczytacie o zabawnych zmaganiach kulinarnych oraz poznacie przepisy na smakowite potrawy. Życzymy Państwu przyjemnej lektury!

Redaktor naczelna Magda Wieteska

AGORA SENIORA

stopka redakcyjna

Redaktor naczelna
Magda Wieteska

Zespół redakcyjny

Ewa Alfut, Bogdan Banaś, Krystyna Błońska, Beata Chłap, Teresa Dźwigałowska, Maja Garczyńska, Anna Goik, Irena Gójska, Maria Halinowska-Hensel, Irena Kawczyńska, Ewa Konigsman, Leszek Labocha, Maria Marchwicka, Alicja T. Pawlik, Aleksandra Wrzos

Redakcja graficzna i skład

Eliza Przewoska, Wojciech Traczyk

Okładka

Pixabay – Markus Winkler

Wydawca

Uniwersytet Trzeciego Wieku w Uniwersytecie Wrocławskim

Adres redakcji: ul. Dawida 1, 50-529 Wrocław



Spis treści

NUMER 1/2021

FELIETONY

- 3 Godziny dla seniorów
- 4 Infodemia
- 5 Same korzyści

PODRÓŻE MAŁE & DUŻE

- 6 Moje wrażenia z Japonii
- 10 Między Mazurami a Podlasiem
- 15 Zorza polarna na urodziny

MODA & URODA

- 18 Moda seniorów w czasie pandemii

REPORTAŻE – HISTORIE PRAWDZIWE

- 20 Plastikowa figurka z Lichenia
- 22 Przemoc w rodzinie, domowa

GOTOWANIE Z HUMOREM

- 28 Po prostu sernik
- 28 Zupa na ścierce
- 29 Nie samym chlebem człowiek żyje
- 29 Śledzikowy przekładaniec

WARTO LEKTURY

- 30 Jeremi Przybora – wspomnienie
- 31 „Tekściarze”
- 31 Wspomnienia Jerzego Antczaka

O której robisz zakupy w Biedronce?

Codziennie przed południem, tuż przed dziesiątą, aż do godz. 12.00, w kierunku sklepów, szczególnie tych większych, jak Lidl i Biedronka, zaczynają ciągnąć pielgrzymki starszych ludzi, seniorów. Wędrują pojedynczo, parami, zazwyczaj ciągnąc torby na kółkach (nazywane przez młodych ludzi rydwanami emeryta).

Ewa Alfut

Dokądże ten exodus, dlaczego o takiej porze? Wszystko z troski o seniorów w dobie pandemii, która od wielu miesięcy mrocznym cieniem rozsnuła się nad światem, więc także i nad naszym krajem. Każdego dnia, poza sobotą (toż to taki przyjemny dzień, zaczął się weekend, wolność, swoboda), w określonych godzinach, nie za wcześnie, by starszy mógł troszkę pospać, nie za późno, bo przecież w pewnym wieku już się za długo nie śpi, tylko wybrani mogą dokonać zakupów.

W drzwiach sklepu, jak mityczny Cerber, stoi ktoś z obsługi, pilnując, by nikt młodszy (co, mimo masetek, nie jest trudne do stwierdzenia) nie przemknął do środka. Jeśli jakimś cudem się śmiałkowi uda, to w środku sklepu kolejny strażnik Teksasu może capnąć delikwenta i wyrzucić ze sklepu.

A, kysz ducha nieczysty, to nie twoje godziny, przyjdź wcześniej lub później, nie teraz. Teraz „staruchy”!

I tu zaczynają się przysłowio-we schody. Cieszyć się czy nie cieszyć z tych „godzin dla seniorów”? Wszak ich wprowadzenie podyktowane było niewątpliwą troską o życie i zdrowie starszych, tych z grupy największego ryzyka. I, jak to zwykle bywa, są zwolennicy i przeciwnicy. Do końca życia będę opowiadała dzieciom, wnukom, znajomym

zabawne zdarzenie, którego byłam bohaterką. Tuż po dziesiątej, po wejściu do sklepu, poczułam nagle, jak ktoś mnie obcesowo łapie za ramię i zwraca uwagę, że teraz robią zakupy seniorzy, a ja mogę przyjść później. Rozśpiewało się wszystko w mojej duszy. Wiem, że upływ czasu jest naturalną koleją losu i wielkiej tragedii z tego nigdy nie robiłam, ale ten epizod jakoś tak zrównoważył niesmak po komentarzach młodych: „Po co te staruchy się tu kręcą, mają swoje godziny, nie mają co robić, to łażą...”. Ot, mała rzecz, a cieszy.

W trudnych czasach, a takimi ostatnie miesiące niewątpliwie są, ratujemy się poczuciem humoru. Tyko nie wiem, czy jest mi do śmiechu, kiedy słyszę żarcik mający swą genezę w „godzinach seniorów”: Nie musisz teraz pytać kobiety, ile ma lat.

Wystarczy, że zapytasz, o której robi zakupy w „Biedronce”?

Może niepotrzebnie dramatyzuję, może moje poczucie humoru poszło spać, zmęczone złośliwymi komentarzami o moherach i staruchach (notabene, bereciki noszę, bo lubię i nosiłam już jako nastolatka).

Na szczęście, jak to wyśpiewał niezapomniany Cz. Niemcewicz: „... ludzi dobrej woli jest więcej i mocno wierzę w to, że ten świat nie zginie nigdy dzięki nim”, i dla większości jesteśmy Babciami, Dziadkami, Seniorami, nie Staruchami.

Uzbrojona w siłę przesłania artysty, zaopatrzona w rydwan emeryta, radośnie podśpiewując, wyruszam do „Biedronki”. Właśnie wybiła dziesiąta. ■



źródło: Pixabay

Infodemia

Maria Halinowska-Hensel

Wczoraj odwiedził mnie sąsiad. Omówiliśmy szczegóły odnowienia wspólnego płotu. Po ustaleniu koloru, terminu i innych ważnych detali rozmowa zahaczyła o pogodę i jej nieprzewidywalność, co doprowadziło nas do tematu zmian klimatycznych.

– To bardzo proste – usłyszałam. – Wiem, komu to zawdzięczamy.

I tu mój sąsiad, skądinąd lekkiego i pogodnego usposobienia, zrobił nagle bardzo poważną minę, nieprzeniknioną niby twarz zagadkowego Sfinksa. Gdy się żegnał, poczułam się mała i niedoinformowana, pozazdrościłam mu jego tajemnej wiedzy. On wiedział, jakie potężne siły wywołują katastrofy klimatyczne i globalne ocieplenie. Mógł też nadal ze spokojnym sumieniem przez całą zimę opałać dom mokrym drewnem i jeździć do woli swoimi dwoma starymi samochodami – my maluczcy nie mamy przecież żadnego wpływu na nic! To jacyś możni tego świata sterują wszystkim, nawet pogodą, dla siebie tylko wiadomych celów.

I ja chciałabym poczuć własną wyjątkowość, posiąść wiedzę, która wyniosłaby mnie ponad masę nieuświadomionej i nieprzeczuwającej niczego reszty.

Pomyślałam, że w tych szalonych czasach, gdy nasz świat zdaje się grozić swoim końcem, a pandemiczne wieści atakują nas ze wszystkich stron, dobrze byłoby znać prostą tego wszystkiego przyczynę. Postanowiłam poszukać przekonującego wytłumaczenia obecnej pandemii. Wybór okazał się dość szeroki.

Na początku powstała myśl, że Covid jest bronią biologiczną

wyhodowaną w laboratorium w Wuhan lub w stanie Georgia w USA. Doniesienia o odzwierzęcym pochodzeniu z jarmarku w tym mieście wydały mi się jednak bardziej przekonujące. O tajnych stowarzyszeniach, które chcą zniewolić obywateli i utworzyć nowy porządek świata oparty na policyjnej władzy, słychać było już od lat 90. Tu miałyby rodzina Rothschildów lub nawet jacyś kosmici posługiwać się epidemią. Ale nie znalazłam w sobie wystarczającej dawki antysemityzmu, a wiara w UFO wydała się dość infantylna.

A może Bill Gates chce zmusić ludzkość do masowych szczepień i przy tej okazji wszczepić nam wszystkim jakiś mikrochip? Przy jego pomocy mógłby mieć totalną kontrolę nad masami i zrealizować swój plan zredukowania liczby ludności na świecie. Dlaczego jednak podejrzewać człowieka, który wraz z żoną od lat sponsoruje badania nad różnymi szczepionkami i wspiera WHO datkami ratującymi życie tysiącom?

Wzięłam też pod uwagę możliwość rozprzestrzeniania koronawirusa przy pomocy nowych nadajników piątej generacji. Przecież w Wielkiej Brytanii podkładano ogień pod ich maszty, by uniknąć zachorowań. Ten trop okazał się jednak już nieaktualny, bowiem Afryka nieposiadająca tych nadajników nie ustępuje nam w Covidowej śmiertelności.

Podejrzenie o trucie wody pitnej w naszych aglomeracjach zbyt przypominało obwinianie Żydów o zatrucie studni



źródło: Pixabay – Markus Winkler

w czasach średniowiecznej epidemii dżumy. Kładłoby się też mrocznym cieniem na pracownikach zakładów wodociągowych, badających skrupulatnie naszą kranówkę. Po krótkim zastanowieniu odrzuciłam teorię o Europie podkopanej tunelami, w których niewinne dziatki są więzione i torturowane, gdyż możni tego świata wysysają z nich soki dla wiecznej młodości. Nie tłumaczyła mi bowiem tego, co się obecnie dzieje.

Zmęczona poszukiwaniami wpadłam wreszcie w stan rezygnacji. Nie uporządkuję chaosu tego świata w prosty sposób, nie uspokoję się, znajdując źródło złego. Nie dane mi dołączyć do elit obdarzonych wiedzą dla wybrańców, nie wzniosę się ponad przeciętność. Niestety, muszę jak reszta nieuświadomionej, manipulowanej części rodu ludzkiego stosować się do wszystkich uciążliwych obostrzeń: dostawać pryszczki i zadyszki pod maseczką, miesiącami nie oglądać na żywo nikogo poza nieuprzejmą sprzedawczynią w sklepie na rogu, nie pójść z czystym sumieniem na imieniny do dawno niewidzianego kolegi.

Pod koniec moich poszukiwań natknęłam się jeszcze na informację pewnego specjalisty, że wiara w teorie spiskowe jest objawem psychozy paranoicznej. Równie dobrze mogłabym więc wierzyć, że jestem Napoleonem. A stan naszej opieki psychiatrycznej jest jednakowo dobry jak leczenie Covid -19! ■

Same korzyści

Maja Garczyńska

To czego doświadczamy w magicznym roku 2020 można chyba nazwać zagładą ludzkości. Nasze dotychczasowe życie stanęło na głowie. Nic nie jest takie jak przed pandemią. Złowrogi wirus Sars-2 Covid-19 zawładnął rzeczywistością i podporządkował sobie wszystkie dziedziny naszego życia. Wszystko nagle stało się ZDALNE. Pracujemy zdalnie, uczymy się zdalnie. Wszystkie konferencje, spotkania służbowe, rozmowy handlowe, debaty telewizyjne, nawet obrady rządów odbywają się zdalnie. Kto rok temu by przypuszczał, że to możliwe? Ja na pewno nie. Zagorzała przeciwniczka wirtualnych pieniędzy, Bitcom-ów, wszelkich mediów społecznościowych: Youtube-ów, Skype-ów, Twitter-ów, linków, czatów, blogów czy aplikacji telefonicznej, muszę przenieść swoją codzienność do sieci. Wszystko załatwiać wirtualnie. Nawet wizytę u lekarza odbędę zdalnie, już nie stoję rano pod przychodnią, martwiąc się, czy dostanę numerek. Lekarz wystawi e-receptę i po kłopotcie. Podobnie z produktami i jedzeniem.

Każdą rozrywkę zapewni mi internet. Mogę ściągnąć książkę, obejrzeć dowolny koncert muzyczny, sztukę w teatrze, bez wychodzenia z domu. Artyści tworzą – jak zwykle, ale nie mają widza, więc wspaniały internet daje widowisko. Tylko oklasków brak.

Okazuje się, że ten wirtualny świat to nasze dobrodziejstwo. Przed epidemią w ciągu jednego tygodnia nie mogłabym obejrzeć spektaklu w Teatrze Współczesnym w Warszawie,

przedstawienia w Operze Królewskiej, również w Warszawie, koncertu w Narodowym Forum Muzyki we Wrocławiu czy przedstawienia konkursowego z Teatru Capitol. A jeszcze na platformach (o których wcześniej nie miałam bladego pojęcia) wysłuchałam dwóch bardzo ciekawych wykładów. Poprawiłam swoją kondycję, ćwicząc raz z panią Alą, a innym razem z panem Krzysiem. Spotkałam się, oczywiście online, z moją grupą tematyczną – literacką i dyskusyjną. Nawet można było przepić do koleżeństwa, bez obawy, że późno i trzeba wziąć taksówkę. Same korzyści, a jaka wygoda.

Nie martwię się, co na siebie włożyć. W domowych pieleszach, bez fryzury i makijażu, w kapciach, w przyjaznych spodniach ze stretchu, które zawsze się dopną, nawet jak przesadzę z dogadaniem, żeby poprawić nastrój, a tym samym odporność, o którą musimy szczególnie teraz dbać. Lockdown nie zezwalał podejmować w domu gości ani gościć się w restauracjach, jeździć na wycieczki. Nie wydawałam też na zakupy, na rozrywkę, fryzjera, kosmetyczkę. Same oszczędności. Można przypuszczać, że pełnia szczęścia.

Faktycznie, dzięki mediom można przetrwać pandemię.

Nasi przodkowie inaczej znosili epidemię cholery czy hiszpanki. Ale czy doświadczamy dobrodziejstwa?

To dzięki pandemii czy przez pandemię?

Młodzi już dawno ulokowali się w „chmurze” Internetu. Nam trudno pogodzić się z ograniczeniem bliskich kontaktów międzyludzkich. Potrzebujemy serdecznego uśmiechu, przyjacielskiego dotyku, czułego spojrzenia.

Czy pandemia nie jest po to, aby uświadomić nam, że już nie będzie tak, jak było? Świat się zmienia, zwłaszcza go sztuczna inteligencja, cyborgi, a człowiek staje się mały w kosmicznym wszechświecie. ■



źródło: Pixabay – cromaconceptvisual

Moje wrażenia z Japonii

Leszek Labocha

Chciałbym przekazać moje wrażenia ze zwiedzania tego fascynującego kraju, nie trzymając się chronologii wydarzeń, ani nie pretendując do roli przewodnika po zwiedzanych zabytkach. Są to raczej wspomnienia i ciekawostki, które utkwiły mi w pamięci.

Polecieliśmy bezpośrednim rejsowym lotem z Warszawy w miarę wygodnym Dreamlinerem, a więc z przystojnym jedzeniem i – co istotne – drinkami w cenie.

Po wylądowaniu w Tokio i zakwaterowaniu w hotelu pierwszy szok: toaleta. Takiego urządzenia z takim panelem sterowania nie powstydziłby się dobry samochód. Są tam przyciski do podgrzewania, różnych typów spłukiwania, podmywania, odkażania, pachnienia, wyda-

kapcie, inne niż do chodzenia po mieszkaniu (takie dwie pary kapci otrzymuje się w każdym hotelu).

Po kolacji poszliśmy na indywidualny spacer po okolicy. Była 21.00 i w centrum miasta zobaczyliśmy liczne rozbawione kilkunastoosobowe grupy osób ubranych „po biurowemu”, zamawiających taksówki po wyjściu z pubów i barów. Okazało się, że są to pracownicy korporacji, zmierzający do domu po obowiązkowej kolacji

ślenia w japońskiej firmie i oczywiście można wtedy zapomnieć o jakimkolwiek awansie.

Patrzący w okno

W następnym dniu oglądaliśmy dzielnicę biznesową Shinjuku, w której tysiące, a raczej dziesiątki, a może setki tysięcy, głównie młodych pracowników przebywa i „bawi się” ze swoimi szefami w niezliczonej ilości gastropubach. Ulice wieczorem są rozświetlone neonami i lampionami, słychać ogłuszającą rockową muzykę i widać licznych tokijszczyków lekko „napiętych” (podobno mają bardzo „słabą głowę”), dyskutujących jeszcze na ulicy przed dotarciem do domu.

Wcześniej tego wieczoru wjechaliśmy na taras widokowy wieżowca Tokio Metropolitan Government Building, czyli urzędu miasta, w którym pracuje ponad 20 tysięcy urzędników! Zastanawiałem się, czy to przypadkiem nie jest przerost administracji. Przy okazji: w Japonii też są przerosty zatrudnienia i pracownicy mający niewiele do zrobienia nazywani są „patrzący w okno”.

Jednak opinię o niezwykłej pracowitości Japończyków można potwierdzić nawet pobieżną obserwacją. Zaskoczeniem dla nas były osoby w wieku 70-80+ pracujące w sklepach, usługach i np. kierujące ruchem samochodów. Nie wynika to z konieczności zarobkowania, ale



źródło: Leszek Labocha

wania różnych dźwięków np. śpiewu ptaków itd. Podobno wynika to z niezwyklej wstydliwości Japonek, które nie akceptują żadnych odgłosów i wrażeń z tego miejsca. Do toalety są przeznaczone specjalne

z szefem. Wyjaśniono nam, że teraz już jest lepiej, gdyż obowiązek ten realizuje się zwykle 3-4 razy w tygodniu, a nie jak kiedyś 6 razy tygodniowo. Teoretycznie można tego nie robić, ale jest to nie do pomy-

z potrzeby bycia pożytecznym dla społeczeństwa.

Szanowani seniorzy

Seniorzy w Japonii starają się zupełnie nie wtrącać w życie swoich dorosłych dzieci, uważając, że nie należy im przeszkadzać w układaniu sobie życia i kariery, nawet wtedy, gdy „młodzi” chcą pomagać i zajmować się starymi rodzicami. Niezależnie od tego wielokrotnie mieliśmy okazję zaobserwować pełen szacunku stosunek Japończyków do osób wiekowych. Utkwiła mi w pamięci scena z pociągu Shinkansen, gdzie blisko nas jechała, jak się okazało, około 10-osobowa grupa seniorów w wieku około 90 lat. Towarzyszyło im pięciu opiekunów, którzy nieustannie zajmowali się podopiecznymi, rozmawiając, pomagając się poruszać, podając jedzenie i napoje, poprawiając pozycję siedzenia i to wszystko z łagodnym, pełnym ciepła uśmiechem.

Japońskie subkultury

Po tej „poprawności pracowniczej” oglądaliśmy jednak też zupełnie inną, barwną i gwarną dzielnicę Harajuku – ulubione miejsce spotkań młodzieży reprezentującej najróżniejsze japońskie subkultury. Nigdy przedtem ani potem nie widziałem ludzi o tak niesamowitych ubraniach, włosach i sposobach bycia, a także sklepów, fryzjerów, studiów tatuażu oferujących usługi dla tej klienteli. A więc nie wszyscy Japończycy są tacy „prawkładowi” i poprawni! Jedną z ciekawostek były kilkunastoletnie dziewczyny w butach na wysokich obcasach o dwa numery za dużych. Dowiedzieliśmy się, że jest to sygnał dla zainteresowanych starszych i dobrze sytuowanych panów, że taka dziewczyna jest

„nieśmiała i nieporadna” i chce poznać odpowiedniego „opiekuna”. Podobnie jak w przypadku gejsz, nie należy tego mylić z „najstarszym zawodem świata”, przynajmniej nie bezpośrednio. Na marginesie można dodać, że według naszej przewodniczki, Polki mieszkającej w Japonii i mającej polskich kolegów, którzy mieszkają w Japonii i mają żony Japonki, są one bardzo nieśmiałe, wstydliwe i nie bardzo zainteresowane „tymi sprawami”, co rozczarowuje naszych panów. Może jest to jedna z przyczyn minimalnego przyrostu naturalnego w Japonii?

Dzielnica gejsz

A propos gejsz, które staraliśmy się spotkać tam, gdzie ich najwięcej przebywa, tzn. w najśłynniejszej i zarazem najstarszej dzielnicy rozrywki w Kioto (dawnej stolicy Japonii i siedziby cesarza) zwanej Gion. Dzielnica ta odegrała ogromną rolę w rozwoju sztuki i kultury Japonii, a mieszkające tam w pięknych drewnianych domach o historycznej architekturze gejsze określane są mianem gejkko, tzn. „kobieta sztuki”. Jest ich bardzo niewiele i czasami pokazują się na chwilę na ulicy, wzbudzając sensację i zamieszanie wśród fotografujących turystów. Podobno czas spędzony z nimi na nobliwej kolacji kosztuje majątek! Są naprawdę piękne z twarzami porcelanowych lał.

Pociągi jak błyskawice

Zwiedzanie zabytków w Japonii wymaga sprawnego poruszania się w granicach miast, najlepiej metrem, kolejami podmiejskimi i szybkimi kolejami Shinkansen. Wszystkie te rodzaje transportu mają ważną wspólną cechę: są niezawodne



źródło: Leszek Labocha

i nieprawdopodobnie punktualne. Odchylenia od rozkładu jazdy praktycznie nie istnieją, a opóźnienie pociągu Shinkansen powyżej 20 sekund z winy maszynisty grozi utratą premii! Nie tylko metro, ale także dalekobieżne, szybkie pociągi zachowują się idealnie tak, że drzwi wagonów znajdują się przy oznaczonych na peronie liniach, na których prawej stronie pasażerowie czekają na wejście, pozostawiając stronę lewą dla wysiadających. Informacja, przy której linii pasażer ma czekać, znajduje się na bilecie. Pociąg stoi tylko 1 minutę, więc konieczne jest sprawne wchodzenie i wychodzenie, chyba że ktoś chce pozostać na peronie. Z tego powodu dwudziestu kilku uczestników naszej wycieczki zabierało do pociągu tylko bagaże podręczne, a bagaż główny jechał za nami autobusem. Najwyraźniej istniała obawa, że tak duża grupa osób może nie zdążyć „zapakować się” lub wyjść z pociągu w tak krótkim czasie. Komfort podróży i szybkość 300 km/godz. jest ogólnie znana i taka sama jak w pociągach np. w Chinach.

Szlafrok na uroczystą kolację

Hotele, w których spaliśmy, prezentowały wysoki europejski poziom. Najciekawszym dla nas był hotel w nadmorskim

kurorcie Atami, gdzie w obszer-
nych pokojach mieliśmy do
wyboru spanie w zwykłych łóż-
kach lub na pościelonych ma-
tach tatami przykrytych miękki-
mi futon. Wybraliśmy to japoń-
skie rozwiązanie i spało się
nam znakomicie. W tym sa-
mym hotelu zorganizowana

wytrzymać jednorazowo dłużej
niż 10 minut. Ciekawostką jest
to, że bezwzględnie nie są
wpuszczane osoby z tatuażem.
Jeden z naszych młodych kole-
gów z niedużym tatuażem zo-
stał przez obsługę wyproszony.
Podobno dzieje się tak, ponie-
waż w Japonii tatuaż wiąże się

samochodu. Przy kupnie tako-
wego trzeba okazać dokument
o posiadaniu garażu lub wyku-
pionego miejsca parkingowego
(a parkować na ulicy w centrach
nie wolno w ogóle). Stąd też re-
latywnie niewielu Japończyków
ma samochody i nie jest to spe-
cjalnie pożądane przy znakomi-
tej komunikacji publicznej.

Kulinarne rozwiązania

O kuchni japońskiej nie chcę
się rozpisywać. Mogę stwierdzić
na pewno, że jest znakomita,
bardzo zróżnicowana, oparta na
naturalnym smaku potraw,
a więc z niewielkim dodatkiem
przypraw (co mi odpowiada,
gdyż nie przepadam za bardzo
mocnymi przyprawami Azji Po-
łudniowo-Wschodniej). Kilka
„wynałazków” przeniósłbym do
Polski: wzory potraw pokazane
przy wejściu do restauracji tak
naturalistyczne, że nie znając
języka wiadomo co zamówić,
oraz nieprawdopodobnie liczne
na ulicach automaty z jedze-
niem i piciem. Szczególnie zim-
na kawa w puszcze z różnymi
dodatkami i mocą ratowała
mnie przed zmęczeniem w tej
bieganinie. Nie muszę oczywi-
ście mówić o uprzejmości obsłu-
gującego personelu nie tylko
w knajpkach, ale dosłownie
wszędzie.

Zakupy w ukłonach

Będąc w centrum handlowym,
postanowiłem kupić oryginalne
sandały (a rozpoczynało się la-
to). Sandały jak sandały, ale to
co przeżyłem przy ich kupowa-
niu, zostało mi na dłużej. Obsłu-
giwały mnie trzy osoby (mężczy-
zna i kobiety). Musiałem bronić
się przed kucającymi przy mnie
sprzedawcami, aby samemu
buty nakładać na własne stopy.
Gdy w końcu coś wybrałem,
przyszły dwie inne osoby, które
w ukłonach wzięły moją kartę
kredytową w takim geście, jakby



źródło: Leszek Labocha

była typowo japońska kolacja
z wymogiem ubrania się w do-
starczony strój japoński yukata
(coś w rodzaju wzorzystego
szlafroka). Kiedy otworzyły się
drzwi windy i zobaczyliśmy
naszych wycieczkowiczów
(mężczyzn i kobiety), wszyst-
kich jednolicie w to ubranych,
widok był tak komiczny, że ryk-
nęliśmy śmiechem, którego
długo nie mogliśmy
powstrzymać.

Tam też mieliśmy wieczorem
możliwość skorzystać z trady-
cyjnej japońskiej łaźni onsen.
Różnią się one od naszych
saun dość zasadniczo. Są od-
dzielne dla mężczyzn i kobiet.
Należało się rozebrać „do ro-
sołu” i pod okiem obsługi po-
rządnie wyszorować w wyzna-
czonych indywidualnych miej-
scach z pełnym wyposażeniem
środków do kąpieli. Wtedy do-
piero można było wejść do
dużych basenów z tak gorącą
wodą, że ja, choć przyzwyczaj-
ony do sauny, nie mogłem

z przynależnością do mafii
Yakuza, a jej członkowie nie są
tolerowani w takich miejscach.

Piesek za zgodą innych

W mieszkaniach Japończyków
nie byliśmy, jednak wiadomo,
że są w wielkich miastach na
ogół niewielkie, bardzo drogie
i nie wolno wchodzić poza
przedpokój w butach.

Ciekawostką jest, że pieska
w bloku mieszkalnym można
mieć tylko malutkiego, nieszc-
zekającego i za zgodą wszyst-
kich bez wyjątku innych loka-
torów. A już posiadając takie
maleństwo, należy nie tylko
sprzątać na ulicy to co robi
„na 2”, ale także chodzić z bu-
telką wody do spłukania jego
ewentualnego „siku”.

Auto tylko z garażem

Trudno dostępnym przywile-
jem w Tokio i innych wielkich
miastach jest także posiadanie

to były brylanty, aż w końcu znowu w ukłonach oddały mi pakunek. Nareszcie mogłem, zestresowany, ale i usatysfakcjonowany, opuścić sklep.

Na ulicach miast widzi się bardzo różnie ubranych ludzi. Większość, szczególnie w centrach miast i w dzielnicach biznesowych „na co dzień” ubiera się „po biurowemu”, inni na sportowo, a część, szczególnie starszych pań w tradycyjne kimona (pominąć należy liczne turystki z Chin, które chodzą ubrane w tanie imitacje prawdziwych kimon). Tradycyjny strój jest zwykle wręcz obowiązkowy na uroczyste okazje, jak np. święta, oficjalne wizyty, a przede wszystkim śluby i wesela.

Młodzież szkolna nosi obowiązkowe jednolite mundurki i takie same, obowiązujące w danej szkole, plecaki.

Dziecięcy rowerek z Hiroszimy

Zabytki w Japonii są dla nas niezwykle interesujące ze względu na ich wysublimowane piękno i zupełną odmienność od europejskich. Są to zwykle budowle drewniane i w związku z tym wiele z nich uległo spaleni, głównie w czasie nalotów II wojny światowej. Niektóre z nich wiążą się z panującą w Japonii religią shinto i buddyzmem: świątynie i charakterystyczne bramy torii, jak np. słynna pływająca brama Itsukushima na wyspie Miyajima.

Do najpiękniejszych oglądanych przez nas zabytków należały: Pałac Cesarski w Tokio, największy drewniany budynek świata

– Pawilon Wielkiego Buddy, w Kioto świątynia Kasuga z VII w. z przyległym do niej parkiem z dzikimi, ale zaprzyjaźnionymi jeleniami, z którymi można z bliska obcować, a także przepiękny Żółty Pawilon.



źródło: Leszek Labocha

Przejmujące wrażenie robi Park Pokoju w Hiroszynie z Kopułą i Muzeum Bomby Atomowej, gdzie zgromadzono pamiątki po wybuchu bomby, jak np. metalowy, poskręcany wysoką temperaturą mały dziecięcy rowerek.

Niesamowite dla nas są: dzielnicami samurajów Bikan i Zamek Wron w Okajamie, Zamek Białej Czapli Himeji z XIV w. i wiele innych. W jednej ze świątyń buddyjskich widzieliśmy Mizuko (Wodne Dzieci). Są to bardzo liczne, kamienne figurki nienarodzonych dzieci, czy to z powodu aborcji (która jest tu dozwolona), czy też innych przyczyn. Takie uczczenie ma pomóc dziecku przekroczyć rzekę Sanzu i dostąpić wieczności.

Zamek szogunów

Mnie szczególnie zaciekał Zamek Nijo w Kioto należący przed wiekami do rodziny szogunów, którzy faktycznie rządili Japonią. Zbudowany z wielkim przepychem, ale zachowujący obronny charakter, także przed wewnętrznymi wrogami i potencjalnymi zamachowcami. Szoguna chroniła m.in. podłoga z potężnych desek skonstruowana tak, że nawet lekkie stąpanie boso powoduje głośne dźwięki przypominające śpiew ptaków, ostrzegające strażę, że ktoś się skrada. W tym zamku liczne sale audiencyjne miały na przeciwległej do wejścia ścianie malowidła, które informowały

proszącego o audiencję o nastrój i decyzji szoguna. Wezwany wiedział, czy może liczyć na łaskę, czy też powinien niezwłocznie popełnić seppuku.

Japonię często postrzega się jako bardzo nowoczesny kraj z nowoczesnymi miastami, wieżowcami i globalnymi koncertami. Jest to tylko częściowa prawda. W większości Japończycy bardzo cenią sobie tradycję, a krajobrazy Japonii to głównie góry i lasy, które zajmują 66% powierzchni kraju.

Czarne jajka na twardo

Świętością w tym kraju jest oczywiście wulkan Fuji. Mieliśmy szczęście, gdyż mogliśmy oglądać tę wspaniałą i wysoką na 3776 m górę w całej okazałości w super słoneczną pogodę. U jej podnóża rozlokowały się liczne obiekty turystyczne. Po Fuji podążyliśmy kolejką linową do wysoko położonej wulkanicznej doliny Owakudani, znanej z gorących źródeł siarkowych i wrzących stawów.

Obowiązkowo trzeba zjeść, gotowane na twardo w siarce, czarne jajka, co ma przynieść zdrowie i powodzenie, i co oczywiście uczyniliśmy.

Ogrody w Japonii są tematem licznych opisów i wstęchnień. Niewątpliwie można stwierdzić, że są przepiękne, nieprawdopodobnie zadbane, pełne kwitnących drzew, krzewów i kwiatów, a nawet mchów. Zawsze są tam jeziora, alejki wyłożone płaskimi kamieniami, wzniesienia, strumyczki, fontanny i, często, stylowe pawilony herbaciane. Zwyczajowo młode pary pozują tam do pamiątkowych zdjęć.

Na koniec polonika: w sklepach z koszulkami zobaczyliśmy... T-shirt z Lewandowskim! ■

Między Mazurami a Podlasiem

Aleksandra Wrzos

Pandemia wymusiła na nas zdroworozsądkową decyzję. Zagranica odpadła, w rachubę wchodziło mało oblegany we wrześniu zakątek Polski. Wybór padł na Mazury. Trzy kobiety, czyli dwie Ewy i ja, nigdy nie byliśmy w tej części kraju. Wynajęliśmy dom niedaleko Ełku i pod koniec sierpnia wyruszyliśmy w drogę bolidem wytrawnego kierowcy – Magistra, którego noga przed laty stanęła tam: na północnym wschodzie Polski.



źródło: Aleksandra Wrzos

Czekala nas około sześćset-kilometrowa, nużąca trasa, tzw. S8, na długich odcinkach okolona ekranami przeciwdźwiękowymi. Z Wrocławia w kierunku Warszawy, a za nią – w kierunku Białegostoku. Z pewnością rozbudowa sieci dróg szybkiego ruchu jest wielkim ułatwieniem dla przemysłowego transportu, jest miarą rozwoju infrastruktury państwa, ale dla nastawionych urlopowo pasażerów, żądnych zniewalających krajobrazów, to dosyć męcząca podróż. Dopiero odbicie w okolicy Zambrowa, pionowo na północ, pozwoliło nam odregować tę nudę. Im bliżej mieli-

śmy do mety, czyli wsi Stacze, położonej na granicy dwóch województw, podlaskiego i warmińsko-mazurskiego, tym intensywniej doświadczaliśmy różnicy między przebytą trasą szybkiego ruchu a lokalnymi, sielskimi drogami, prowadzącymi nas do celu.

Drewniany dom na końcu wsi

Dom, do którego dotarliśmy po prawie siedmiu godzinach jazdy, zachwyił nas od razu swoim wyglądem i położeniem. Duży, drewniany, na kamiennym cokole, usytuowany na

końcu wsi, na rozległej, na oko hektarowej, łąkowej działce. Budynek otaczały wysokie brzozy, między którymi prześwitywało jezioro Stackie. Na miejscu okazało się, że wieś Stacze leży jeszcze w granicach województwa warmińsko-mazurskiego, nieopodal Ełku.

Tereny zwane Warmią to trójkątny obszar między Olsztynem, Braniewem i Lidzbarkiem Warmińskim.

Do Mazur należą zaś wielkie jeziora, jak Śniardwy czy Mamry, z miejscowościami takimi jak Mrągowo, Kętrzyn, Giżycko, Gołdap, Ełk, Nidzica, czy Lidzbark. Za Ełkiem na wschód

rozpościera się „zwykłe” województwo podlaskie z Augustowem, Białymstokiem i Suwałkami. Do województwa podlaskiego należą rozległe obszary leśne, jak Biebrzański Park Narodowy, Puszcza Knyszyńska, Puszcza Augustowska, Wigierski Park Narodowy. My byliśmy na równinie, między wielkimi jeziorami od zachodu i równie wielkimi obszarami leśnymi z prawej strony mapy. Najbliżej było nam do jeziora Stackiego. Okazało się ono obszarem nieodkrytym jeszcze przez miłośników zmotoryzowanych sportów wodnych, porośniętym szuwarami, z małymi przecinkami do brzegów, wykarczowanymi przez zdesperowanych wędkarzy.

Leśne odkrycie

Po przyjeździe postanowiliśmy z marszu dokonać pobieżnych oględzin okolicy. Minęliśmy kilka domów i przylegających do nich rozległych pastwisk. Weszliśmy do pobliskiego lasu. Zobaczyliśmy je od razu. Wyglądały jak dorodna kępa grzybów. Pięć malutkich kotków przytulonych do pnia drzewa sosny. Byliśmy wstrząśnięci. Bezmyślnością i okrucieństwem ludzi. Natychmiast zaczęliśmy telefoniczne poszukiwania jakiegoś schroniska dla zwierząt w pobliskim Ełku i Augustowie. Nie było to łatwe.

W końcu jeden z weterynarzy zgodził się prywatnie przyjechać po kotki następnego dnia. Zbudowaliśmy im tymczasowy szałasik z sosnowych gałęzi, przynieśliśmy jedzenie. Rano pobiegliśmy do lasu. Spotkaliśmy tam parę młodych ludzi, także przyjezdnych. Kotków już nie było. Okazało się, że na skutek wczesnoporannej interwencji przyjechał po nie pracownik z pobliskiej gminy.

Udało im się przechwycić tylko trzy z piętki. Dwa uciekły do lasu.

Wracaliśmy w milczeniu, z ogromnymi wyrzutami sumienia. Gdybyśmy zabrali je poprzedniego dnia, weterynarz uratowałby wszystkie pięć. Stało się jednak inaczej.

Nasz ponury nastrój dopełniły, dobiegające o zmierzchu z pobliskich, otaczających nas lasów, strzały myśliwych. Towarzyszyły nam one prawie codziennie do końca pobytu.

Smutny żywot kotów

Widzieliśmy coraz więcej oznak niesprzyjającej aury. Chłód, przelotne deszcze. W minutowych nastrojach poszliśmy raz jeszcze do budki dla kotków. No niestety... Był tam czwarty kotek, niedający oznak życia. Pochowaliśmy go w lesie. Piąty nie pojawił się do końca naszego pobytu.

Pod wieczór, przez szklane drzwi naszego domu, zauważyliśmy kręcącego się nowego, czarnego kotka.

Czyżby cały nasz pobyt tutaj miał być poświęcony ratowaniu tych istot? Ja protestowałam przeciwko wystawianiu mu miski. Nie chciałam go wabić, żeby potem zostawić. Zostałam przegłosowana.

Kotek, jak się później okazało – kotka, towarzyszyła nam do końca pobytu. W ramach wdzięczności zносиła codziennie upolowane myszy. Postanowiliśmy poodwiedzać miejscowych gospodarzy, pytając, czy to ich zwierzątko. Wszystkie reakcje były podobne.

– Pani, a jaki to mój kot! Pełno ich się tutaj kręci! Nie mam żadnego kota i nie chcę mieć! – za-perzeni, czerwoni na twarzach, podniesionymi głosami odgonywali się od posiadania jakiegokolwiek zwierzątka.



źródło: Aleksandra Wrzós

O tym więc, co dalej, nie rozmawialiśmy już ze sobą.

Do listy zakupów dodawaliśmy teraz saszetki z jedzonkiem dla kotów.

Modyfikacja wakacyjnych planów

Zdałam sobie sprawę, że nieprzewidziane okoliczności nie pozwolą zrealizować wszystkich, ambitnie opracowanych przeze mnie planów. Z ośmiu przygotowanych tras udało się nam pojechać tylko na całodzienną wyprawę tzw. szlakiem tatarskim i popłynąć statkiem po augustowskich jeziorach.

Na specjalne życzenie Magistra dotarliśmy jeszcze do Klasztoru Kamedułów nad Wigrami. W przerwach między przelotnymi opadami jedynie dwa razy wskoczyliśmy na rowery, przywiezione aż z Wrocławia.

No i kilka razy zanurzyliśmy się w pobliskich lasach w poszukiwaniu grzybów. W pozostałe dni poruszaliśmy się bolidem głównie między Ełkiem a Augustowem, chłonąc specyfikę tej krainy.

Krajobrazy podzielone na pół

Dziela one Polskę na pół. Tak jak polityczne zapatrywania. Po tej stronie jest wszechobecna przyroda, przestrzeń,

bezkresne pola kukurydzy. I cisza. Ostatnie bociany, szykujące się do odlotów ze swoich wysoko utkanych gniazd. Przy wielu lokalnych drogach szpalery wiekowych lip. Na wsiach, wokół domostw, rozległe pastwiska. Pasą się na nich konie i zaczepowane krowy o powłóczyстых spojrzaniach. Cisza.

Tu i ówdzie prześwitują tafle błękitnych jezior. Dwojakich. Na

potopie szwedzkim i rozbiorach Polski. Powstały Prusy Wschodnie, obejmujące swym zasięgiem między innymi Olsztyn i Królewiec. Tereny te zostały całkowicie zgermanizowane. Do czystki, obejmującej rdzennych Mazurów, przyczynili się w okresie II wojny światowej także Sowieci, a na końcu, w powojennej rzeczywistości, polscy osadnicy. Dziedzictwo rodowitych Mazurów

zostało zatarte, o czym opowiadał poruszający film Wojciecha Smarzowskiego pt. „Róża”.

Polskie Kresy Wschodnie, równie doświadczone w czasie II wojny, w wyniku porozumienia zwycięskich mocarstw w Jałcie w 1945 r. zostały mocno okrojone. Polska

straciła wówczas Wilno, Baranów, Brześć, Lwów i Stanisławów.

Wielokulturowość

Prawicowym nacjonalistom mocno zależy na stworzeniu obrazu Polski jako kraju jednorodnego etnicznie i w przeważającej mierze katolickiego. To nieprawda.

Podlasie, ale i Mazury, są przykładem zintegrowania różnych mniejszości. To wynik migracji ludności wywołanej licznymi konfliktami zbrojnymi. Na obecne Mazury w wiekach średnich napływała ludność wyznająca prawosławie, protestantyzm, katolicyzm.

Na dawnych Kresach Wschodnich, około XVI wieku pojawili się też Żydzi, szukający schronienia w Europie środkowo-wschodniej. Do II wojny światowej dzięki licznym przywilejom, swobodzie handlu,

przemysłu i wyznania czuli się tutaj jak u siebie w domu. W takich miejscowościach jak Tykocin, Krynki, Orla czy w lubelskiej Włodawie stanowili często więcej niż połowę mieszkańców. Po II wojnie pozostały po nich w głównej mierze synagogi. I miejscowości nazywane miastami śmierci, gdzie dochodziło do masowych pogromów Żydów, inicjowanych często przez Polaków, ich sąsiadów od wieków.

To między innymi Jedwabne, Szczuczyn, Rajgród, Suchowola.

Na koniec warto wspomnieć o jeszcze jednej mniejszości etnicznej – Tatarach. Ich obecność tutaj sięga XVII wieku. Wówczas to Jan III Sobieski nadał im ziemie w zamian za niewypłacony żołd i na nich osiedliło się wiele tatarskich rodzin. Głównie w Kruszyńskich i Bohonikach.

Widok cerkwi, zborów protestanckich, katolickich kościołów, synagog, tatarskich meczetów i cmentarzy, na których chowano ludzi wielu narodowości, to nieodłączna cecha tutejszego krajobrazu.

Współczesność

Ludzie tutaj są przyjaźni i mili. Może poza próbami ustalania właścicieli kotów. „Bracia mniejsi” wyraźnie nie wzbudzają w nich żywszych uczuć. Strzały myśliwych o zmierzchu tylko potwierdzają tę tezę.

Nie dociekaliśmy ich korzeni, chociaż na wsiach stykali się głównie ze starymi ludźmi, którzy jeszcze tutaj trwają. Młodzi na ogół wyjeżdżają, szukając innych sposobów na życie niż ich przodkowie, parający się uprawą ziemi i hodowlą bydła. Świadczą o tym liczne opuszczone, podupadające, drewniane domy, bo tylko na takie było stać ludzi, zamieszkujących te ubogie od wieków tereny. Tu i ówdzie widać dbałość o ich



Źródło: Aleksandra Wzros

jednych przemykają motorówki i skutery wodne. Na drugich jest tylko toń wody obrośniętej trzcinami, niezakłócaną żadnymi odgłosami. I cisza.

Trochę historii

Tereny Warmii i Mazur mają za sobą burzliwą przeszłość. W piątym wieku pojawili się tutaj Prąbłowianie. Od nich być może wywodzą się plemiona słowiańskie. Parę wieków później książę Konrad Mazowiecki sprowadził na te ziemie zakon Krzyżaków. Miał on prowadzić chrystianizację miejscowej ludności.

Za nimi zaczęli licznie przybywać koloniści z Niemiec, Litwy, a także i z Polski. Krzyżacy, pod pozorem zaangażowania religijnego, zajęli Pomorze Gdańskie. Doszło do słynnej bitwy pod Grunwaldem, gdzie mimo zwycięstwa króla Władysława Jagiełły odzyskano tylko część ziem. Ponownie stracono je po tzw.

pierwotny stan, ale są to wyjątki. Na opuszczonych działkach wielu nowych właścicieli stawia domy letniskowe. Nieliczni budują domy drewniane, jak chociażby właścicielka naszej kwatery. Większość budynków ma współczesną formę i jest wykonana z obecnie stosowanych materiałów. W ten sposób bezpowrotnie ulega niszczeniu specyfika tego regionu Polski.

Śmiesznie dzisiaj brzmiące nazwy, głównie wsi, to oddzielny temat. Dla przykładu: Czaje Bagno, Pupki, Kiślaki, Konowały, Gnilec, Puchły, Chychły, Sypitki, Kucze. Etymolodzy twierdzą, że kiedyś miały one sens, uchodziły za poważne i nikogo nie bawiły, i że powstały głównie na skutek wielojęzyczności.

Szlak tatarski na Podlasiu

Podlasie jest od setek lat domem dla tętniącej życiem muzułmańskiej, tatarskiej wspólnoty. Są oni jedną z najmniejszych grup etnicznych w Polsce. Oficjalnie liczą około dwóch tysięcy osób, ale według tureckich demografów szacuje się, że tatarską krew może mieć w sobie nawet powyżej 1,5 miliona mieszkańców naszego kraju. Ci, świadomi swojego pochodzenia, także ztratili swój język, ich nazwiska uległy spolszczeniu, ale spoiwem scalającym społeczność jest religia - islam. Są rozproszeni po całym Podlasiu.

Dwa zachowane, zabytkowe meczety z XVIII i XIX, wpisane na listę Pomników Historii oraz mizary, czyli cmentarze, znajdują się w Kruszynianach i Bohonikach. Tam też udaliśmy się na całodzienną wycieczkę, omijając, niestety, muzea w Sokółce i Białymstoku z kolekcjami eksponatów tatarskich.

Po wnętrzach meczetów oprowadzali nas potomkowie Tatarów. Oba budynki to niewielkie, drewniane obiekty

z wieżyczkami zakończonymi kopułą z półksiężcem. Ich wnętrza są podzielone na część dla mężczyzn i kobiet. Wnęka w każdym z nich jest skierowana na wschód, ku świętej dla muzułmanów Mekki. Na ścianach wiszą dekoracyjne tkaniny z wersetami z Koranu, a podłogi wyścielone są orientalnymi dywanami. Sympatyczni przewodnicy wyznają czynnie islam, pięć razy dziennie odprawiają modły, przestrzegają Ramadanu, miesiąca postu, i wtedy jeszcze gorliwszych modlitw. Zakończenie Ramadanu odbywa się co roku w Białymstoku i jest zwieńczone balami, zwanymi bajramowymi, czczącymi drugie, wielkie święto wyznawców islamu - Kurban Bajram, czyli Święto Ofiarowania. Jest ono obchodzone także w Bohonikach. W Kruszynianach zaś co roku odbywa się Festiwal Tradycji i Kultury Tatarów Polskich.

Mizary w obu miejscowościach położone są poza wsiami, na wzgórzach. Wejścia zdobią bramy z napisami w języku arabskim, białoruskim i polskim. Mogiła tatarska ma dwa kamienie nagrobne. Większy nad głową, drugi u stóp zmarłego. Grób otoczony jest trzema rzędami drobnych kamieni, których liczba musi być koniecznie nieparzysta. Do mogiły składa się ciała owinięte w białe płótno, z głową zwróconą w kierunku Mekki. Inskrypcja w języku arabskim, dotycząca zmarłego i załączone cytaty z Koranu znajdują się na tylnej powierzchni dużego kamienia, „żeby Anioły mogły lepiej widzieć”...

Najstarsza tatarska mogiła z 1796 roku znajduje się w Bohonikach.



źródło: Aleksandra Wrzós

Rejs statkiem Żeglugi Augustowskiej

Suwałki i Augustów także nieodłącznie kojarzą się z Mazurami, chociaż leżą na terenie województwa podlaskiego. Otoczone są stosunkowo niewielkimi jeziorami i dużymi, ale nie w bezpośredniej bliskości, obszarami leśnymi, o których wspominałam wcześniej, takimi jak Suwałski Park Krajobrazowy, Wigierski i Biebrzański Park Narodowy oraz rozległą Puszcza Augustowską. Tereny te są równie atrakcyjne turystycznie jak Kraja Wielkich Jezior. Na Pojezierzu Augustowskim znajdują się jeziora: Białe, Necko, Sajno, Studzieniczne, Rospuda oraz Kanały Augustowski i Bystry.

Z augustowskiego portu popłynęliśmy stateczkiem wycieczkowym w rejs po jeziorach Białym i Studzienicznym, pokonując dzielącą je śluzę. Oba jeziora, które określiłam wcześniej jako niewielkie, z perspektywy pokładu wydały się nam ogromne. Brzegi majaczyły w oddali, a przed nami rozciągały się głębokie tonie, połyskujące w niemrawym blasku przezierającego przez chmury słońca. Wspominałam o śluzie. Na Pojezierzu Augustowskim, tylko na terenie Polski jest ich aż

czternaście. Służy to budowie wodne, które umożliwiają pływającym obiektom pokonywanie różnic poziomu wód na poszczególnych odcinkach wodnej trasy. Operacja wyrównywania pozio-



mów, stykających się zbiorników wodnych dokonywana jest ręcznie i nie jest krótka. Rejs umilały nam puszczone z pokładowego radiowęzła różne mazurskie przeboje z epoki PRL-u, a wśród nich niezapomniane „Augustowskie noce” w wykonaniu Marii Koterbskiej. Niestety, z powodu pandemii i krótkiego postoju, nie zeszliśmy z pokładu w Studzienicznej, aby obejrzeć Sanktuarium Maryjne. Podobno w XVIII wieku miały tam miejsce objawienia Matki Boskiej. W 1999 roku odwiedził to Sanktuarium Papież Jan Paweł II.

Do augustowskiego portu wracaliśmy, podobnie jak wypływaliśmy, z maskami na twarzach.

Powrót do przeszłości nr 1

Tym razem, w ramach wdzięczności dla Magistra za nienaganne pełnienie non stop roli kierowcy, ulegliśmy jego prośbie, aby udać się nad jezioro Wigry, do Klasztoru Wigierskiego. W tej wizytówce Suwalszczyzny był on przed czterdziestoma laty i chciał pojechać tam jeszcze raz. I tak, wiedzeni irracjonalnym porywem nostalgii naszego kierowcy, wyruszyliśmy trasą przez Puszcę Augustowską

do miejscowości Giby, a później lokalną, gruntową drogą do celu. Zabudowania klasztorne widoczne były już z daleka. Przypominały twierdzę wzniesioną na wzgórzu. Powstały one dzięki zakonowi kamedułów niemal 300 lat temu. Tam też osiedlili się oni, wiodąc surowe, pustelnicze życie. W XVIII wieku, w wyniku kasaty, dobra zakonu skonfiskowali Prusacy, wysiedlając przy okazji zakonników. Upadku tych obiektów dopełniła I i II wojna światowa. Odbudowano je dopiero po II wojnie światowej, ze starannym utrzymaniem dawnej formy i barokowego stylu, włącznie z pozostawieniem siedemnastu eremów, czyli pustelniczych domków mnichów i krypty ze szczątkami zakonników. W tej chwili jest to jeden z reprezentacyjnych obiektów Kościoła katolickiego w Polsce. W 1999 roku przebywał tutaj także Papież Jan Paweł II. Ze wzgórza, na którym stoi ta budowla, rozciąga się przepiękny widok na jezioro Wigry i zabudowania przyklasztorne.

Z powrotem wracaliśmy przez Sejny. W potokach deszczu.

Zatrzymaliśmy się w lokalnej restauracji tuż obok Litewskiego Konsulatu, serwującej litewskie specjały. Okazały się one różnymi wersjami ziemniaczanych kluch. Mięsożerny Magister nie był zachwycony.

Oczywiście w czasie pobytu ściśle przestrzegaliśmy zasad DDM (Dystans. Dezynfekcja. Maseczka).

Powrót do przeszłości nr 2

Wyprawy z rodzicami na grzyby do lubuskich lasów to moje wciąż żywe wspomnienia z dzieciństwa.

Towarzyszyły mi one tutaj aż trzykrotnie. Na krańcu Mazur i Podlasia.

Jedną z Ew była naszą przewodniczką i mentorką. Karnie konsultowaliśmy z nią każdy

wypatrzony okaz. Nawet zrodziło się coś na kształt rywalizacji. Kto zbierze więcej? Mimo szerokiej, grzybiarskiej wiedzy Ewy i tak z pewną rezerwą podchodziłam później do serwowanej przez nią jajecznicy z grzybami. Wszyscy przeżyliśmy. To dowód na jej wybitne znawstwo tematu.

Nie wspominałam jeszcze, że głównymi gatunkami drzew w tutejszych lasach są sosny i brzozy, ale tym razem nie będę dociekać dlaczego

Sypitka

Kotkę, która odwiedzała nas codziennie, nazwaliśmy Sypitką. Tak jak leżąca nieopodal wieś.

Po dziesięciu dniach pobytu na łonie przyrody planowaliśmy pozostałe trzy dni urlopu poświęcić na zwiedzenie Zamościa, Sandomierza i Kazimierza. Nie myśląc, kupiliśmy poprzedniego dnia pojemnik do transportu kotki, obrózkę, kocie jedzenie, z zamiarem zabrania zwierzątka do Wrocławia.

Refleksja przyszła wieczorem. Jaki Zamość, Sandomierz, Kazimierz? Z dzikim kotem? A potem dalej sześćset kilometrów do Wrocławia z nim w budce? Odpuściliśmy...

Sypitka została na swoich rozległych rewirach.

My zaś zrezygnowaliśmy z peregrynacji do wschodnich miast. Ruszyliśmy z powrotem do Wrocławia.

Tą samą drogą. Zasepieni i ponownie dręczeni wyrzutami sumienia, nie dostrzegając nawet ekranów, które tak zmęczyły nas wcześniej.

Później, w rozmowie telefonicznej z osobą opiekującą się wynajmowanym domem, dowiedzieliśmy się, że Sypitka odwiedzała jeszcze naszych następców na kwaterze, a potem zniknęła. Wróciła na swoje dawne szlaki. Tak jak i my. ■

Zorza polarna na urodziny

Ewa Alfut

Są prezenty, które szybko odstawia się na półkę lub chowa w czeluściach szafy i szybko się o nich zapomina. Są takie, które trzyma się blisko łóżka, by je zobaczyć zaraz po przebudzeniu. Są i takie, które spełniają, wydawałoby się, nierealne marzenia. O takim właśnie, o подарowanej na urodziny zorzy polarnej i nie tylko, chciałabym opowiedzieć.



źródło: Ewa Alfut

Zbliżały się moje okrągłe urodziny. Pewnego dnia, w pełni lata, starsza córka, którą rzadko widuję, bo nie mieszka w Polsce, zapytała, gdzie chciałabym pojechać. Troszkę już miejsc widziałam, jednak za najpiękniejsze uważałam zawsze plażę nad Bałtykiem i szum naszego morza. Taka odpowiedź córce nie wystarczyła i drążyła temat.

Rzuciłam, ot tak sobie, troszkę na odczepnego, że chciałabym zobaczyć zorzę polarną. Widziałam zdumienie w oczach Ani, a mnie przed oczyma przewinęły się wszystkie fascynacje przygodami polarników. Ukochany Roald Amundsen i jego zmagania przy zdobywaniu biegunów. Opisy zorzy polarnej, pojawiającej się w bardzo mroźne noce...

Minęło trochę czasu, nadszedł dzień urodzin. Od samego rana spływały życzenia, ale

jest to dzień, gdy stroi się choinkę, przygotowuje Wieczernę, więc na myślenie o prezentach nie ma czasu (pewnie hurtem znajdą się pod drzewkiem).

Było ich sporo, wśród nich jeden, szczególny – wyprawa na północ Norwegii, za koło podbiegunowe, w poszukiwaniu zorzy polarnej.

W malowniczym Tromso

Przygoda zaczęła się 3 stycznia 2018 roku. Już sam lot (trzeba samolotami) dostarczył wielu emocji.

Późnym popołudniem dotarliśmy do Tromsø. Jest to ciche miasteczko w Norwegii, siódme co do wielkości, zamieszkiwane przez 100 narodowości. Spowite białym puchem, rozświetlone świątecznymi ozdobami, sprawiało, że czułyśmy się jak w bajce.

Tromsø nazywane jest wrotami do Arktyki, to tutaj bywał Nansen,

to stąd Amundsen wyruszał na wiele swoich arktycznych wypraw, to stąd wyruszył na podbój bieguna południowego.

Po zakwaterowaniu w hotelu wybrałyśmy się na spacer po deptaku Stargata, przy którym mieści się najwięcej zabytkowych drewnianych domów. Kiedy wyjeżdżałyśmy z Wrocławia, myśl o śniegu była tylko marzeniem, które tu stało się rzeczywistością. Nie mogłam powstrzymać się, by nie zrobić orła. Przypatrywał się temu Roald ze swego pomnika. W niedalekiej odległości błyszczały światła portu, skąd nazajutrz miałyśmy odpłynąć na Senję.

Piękne jak pocztówka

Następnego dnia, już w świetle dziennym, w pewnym półmroku (wszak trwała noc polarna), podziwiałymy piękne jak pocztówka miasteczko. Zaj-

rzaliśmy do Muzeum Polarnictwa, do Tromsø Domkirke, najbardziej na północ wysuniętej, protestanckiej, drewnianej katedry z 1861 roku, obeszliśmy Katedrę Arktycznego Morza, luterancką świątynię z 1965 roku, zbudowaną na wzór tradycyjnych lapońskich namiotów. Potem już trzeba było wsiadać na prom, którym, przeszło dwie godziny, płynęliśmy w kierunku Senji.

Migały przed oczyma ośnieżone szczyty górskie. Myślałam sobie, że to zapewne i tutaj wiele lat temu ludzie stali na zboczach, na brzegu i krzyczeli w kierunku jednostek wypływających na poszukiwanie ich ukochanego bohatera: „Ratujcie naszego Amundsena” (zaginał, gdy wyruszył na pomoc rozbitkom Italii). Zdawało mi się, że wciąż słyszę to rozpaczliwe wołanie (Amundsena do dziś nie odnaleziono).

Szybko zrobiło się ciemno, po opuszczeniu promu w Bontham jeszcze długo jechaliśmy busikiem do małej miejscowości Hamn, słynącej niegdyś z kopalń niklu.

Podziwiałam kierowcę, który doskonale sobie radził na ośnieżonych, ciemnych drogach, bro-



źródło: Ewa Alfut

dząc niemalże w śnieżnych tunelach. Mijaliśmy rozrzucone niewielkie miejscowości, zachwycały malownicze, rozświetlone, świątecznie udekorowane domki, przepięknie wyrastające na śnieżnej bieli. Podziwiałam śnieżne pustkowia wzdłuż krętej drogi.

Park Trolli

Dotarliśmy do hotelu Haman i Senja, zamieszkałyśmy w pięknym domku z widokiem na góry, zatokę.

Senja to druga co do wielkości wyspa Norwegii, położona za kołem podbiegunowym, między Narwikiem a Tromsø, właściwie w Laponii, dawniej zamieszkiwana przez Saanów (Lapończyków), zachodni jej brzeg oblewany jest przez Ocean Arktyczny. Turystom oferuje wiele atrakcji, np. Park Trolli z największym trollem wpisanym do Księgi Rekordów Guinnessa, fiordy, malownicze góry ze słynnymi Szczękami Diabła, przepiękne plaże (jest miejsce nazywane Karaibami Północy, które nawet w styczniu kusiło prawie białym piaskiem i turkusową wodą), dziką przyrodę... Można wybrać się do Norweskiego Parku Narodowe-

go Anderdalen – Duchy Doliny, choć to raczej latem.

Czekając na zorzę polarną

W pierwszy wieczór po przybyciu udaliśmy się do położonego niedaleko obserwatorium, gdzie można było, popijając herbatkę, kawę lub wino – wszystko specjalnie przygotowane dla turystów – czekać na zorzę polarną.

Było nas kilka osób, z różnych części świata, niektórzy już którzyś wieczór „polowali” na zorzę, która nie pojawia się codziennie. Widocznie ktoś tam na górze postanowił, że zasłużyliśmy (ja i córka) na spełnienie marzenia, bo gdy tylko dotarliśmy do obserwatorium, na niebie rozpoczęła się kolorowy spektakl. Patrzyłam na moją bardzo dorosłą córkę, jak skacze z radości, podziwiając to, co dzieje się na niebie. Za chwilę, z drugiej strony, pojawiły się nowe firanki. Przypominałam sobie słowa wiersza: „Żeby coś się zdarzyło, żeby mogło się zdarzyć, trzeba marzyć”.

W psim zaprzęgu

Ranek był niezwykle, szaro, za oknem kontury gór, łódki, kutry w zatoce, światełka błyskające z daleka, rozświetlony domek, gdzie jadało się posiłki, oszalała biel śniegu, spadające z nieba duże jego płatki i... oczekiwanie na atrakcje kolejnego dnia.

Dziś to była przejażdżka psimi zaprzęgami. Zawieziono nas dość daleko od miejsca zamieszkania, poproszono o włożenie odpowiednich ubrań, kombinezonów, butów z wkładkami z foczej skóry, rękawic, czapek i tak opatulonych zaprowadzono na miejsce, gdzie czekały sanie i pieski. Byłam nieco zdziwiona, bo pieseczki (to nie były wcale rosłe malamuty i husky, raczej takie drobniej-



źródło: Ewa Alfut

sze) świetnie radziły sobie w zaprzęgu. Poinstruowano nas, jak kierować zaprzęgiem – jedna załoga liczyła dwie osoby: kierowcę, który stał z tyłu sanek i pasażera siedzącego sobie wygodnie w czymś w rodzaju śpiworka na płozach.

Ruszyliśmy, wcale nie było łatwo kierować tymi sankami. Co i rusz ktoś zatrzymywał się na

widokiem intruzów, przepiękne Karaiby Północy...

Przewodnik opowiadał interesująco, ciekawskie foki wystawiały z wody nosy, panowała atmosfera radości i zachwytu tym surowym pięknem...

Po południu miała miejsce objazdowa wycieczka, podczas której zobaczyłam najwyższe szczyty (Segla, Hesten) tutej-

Przewodniczką okazała się sympatyczna młoda kobieta, Greczynka, która pokochała Norwegię i już tu została. Znowu ubrani w odpowiednie kombinezony, zaopatrzeni w rakiety śnieżne i lampki czołówki, wyruszyliśmy w dość długą trasę, przez bezdroża i las, do jeziora, które miało być miejscem docelowym. Po drodze zdążyliśmy zobaczyć największego trolla. Wcale nie tak łatwo było brodzić w głębokim śniegu, nawet na śnieżnych rakietach. Nad głowami wisiało nam rozgwieżdżone niebo, rozświetlone zorzą. Miało się wrażenie, że jest ono na wyciągnięcie ręki. Dotarliśmy nad malownicze jezioro, w nieznanym nam (poza przewodniczką) lesie, wśród surowej przyrody pojawiającej się w jaśniejszej w ciemnościach bieli.

Nad jeziorem wypiliśmy ciepłą herbatkę, pozachwyciliśmy się zorzą, posiedzieliśmy dłuższą chwilę w tej niesamowitej scenarii, zajrzeliśmy do chatki traperów, jest ich wiele porozrzucanych w lasach. Takie chatki wyposażone są w niezbędne przedmioty, zapalniczki, jakąś żywność i nigdy nie są zamykane. Wędrowiec może z nich skorzystać, ale zawsze powinien zostawić po sobie porządek, by mogła służyć innym zbłąkanym podróżnikom.

Wszystko co dobre, szybko się kończy. Ostatnia wizyta w obserwatorium, ostatnia noc w cudownym miejscu, ostatni szarobiały poranek, rejs do Tromsø, ostatnia noc w Tromsø, powrót do domu...

Dostałam zorzę polarną na urodziny, spełniło się kolejne marzenie.

Marzę, by tak jeszcze kiedyś udać się na Swaldbard, jeszcze dalej na północ... Chociaż nie lubię zimna, świat lodów wciąż mnie fascynuje. Czy starczy na to sił i czasu?

Wyczytałam gdzieś takie słowa: „Kiedy czegoś pragniesz, to cały Wszechświat działa potajemnie, by udało ci się to osiągnąć”. ■



źródło: Ewa Alfut

drzewie. Trasa była dość długa, około półtorej godziny. Podziwiałam pieski, było ich pięć przy jednym zaprzęgu, załatwiały się w biegu, spragnione, w biegu chwytaly śnieg w zęby. To było ciekawe doświadczenie.

Wieczorem znowu czekanie w obserwatorium na zorzę polarną.

Fiordy, foki i łosie

Kolejny dzień obfitował w dal-
sze atrakcje, był rejs łódką po Oceanie Arktycznym, podziwianie najwyższych szczytów...

Ustrojeni w odpowiednie ubranka, czapki uszanki, zaopatrzeni w aparaty, wyruszyliśmy w rejs. Wiatr wiał, mróz szczypał w nosy, ale było to niczym w porównaniu do widoków, które się przed nami roz-
taczały – góry wystające z morza, ich ostre, ośnieżone szczyty, foki zainteresowane

szczyh gór. Groźne, strome skały, przykryte gdzieniegdzie śnieżną pierzynką, zamrożony fiord, przepiękne widoki – czułam, że pokochałam ten kraj, widziany już niegdyś w letniej odsłonie. Zatrzymywaliśmy się na punktach widokowych (Tungenest, Bergsbotn), schodziliśmy do podnóża gór. Wracając, śledziliśmy zapalające się światełka w nielicznych domkach, kierowca musiał uważać na łosie, które z powodu wysokiego śniegu wychodziły na drogę. Minęliśmy jednego, stojącego spokojnie na poboczu...

Niezapomniana była także nocna wyprawa w poszukiwaniu zorzy polarnej, w miejscu innym niż nasze obserwatorium.

Nocna wyprawa

Chętne były tylko trzy osoby, bo była to nocna wyprawa. Podwieziono nas samochodem.

Moda seniorów w okresie pandemii

Irena Gójska

Piżama i szlafrok czy strój na co dzień taki sam jak przed pandemią? Jak ubrać kobietę po pięćdziesiątce? Co zrobić, by żyło nam się lepiej w czasie przymusowej izolacji?

Moda to zjawisko okresowego trendu w najróżniejszych dziedzinach naszego życia. Zawiera w sobie styl życia, ubiór, fryzurę, umeblowanie mieszkania, sposób poruszania się, mówienia i wiele innych sfer. Na to jacy jesteśmy, czyli na osobowość każdego z nas, wpływa wiele czynników: geny, środowisko, w którym się wychowujemy, ludzie wokół nas. Dlatego jesteśmy tak różnorodni. Jak więc miliony różnych jednostek mogą być wierne jednej modzie i dobrze się z tym czuć?

Moda to tylko sugestia, a nie imperatyw i – jak każda inna dziedzina – skłonna do kompromisów. Tę skłonność wykorzystujemy do swoich potrzeb, aby być modną, chociażby w odniesieniu do wyglądu. Modny ubiór kobiety zawsze był związany z rozwojem społecznym oraz panującymi tendencjami kulturowymi.

Modowe trendy

Trendy w modzie lansują projektanci, a właściwie instytucje, jakimi są domy mody. Te

czołowe, znane na świecie za trudnią specjalistów – artystów tworzących kreacje prezentowane na pokazach. Takie ubrania to pojedyncze, bardzo drogie kreacje, uwzględniające obowiązujące trendy danego sezonu, ale skierowane do bogatego odbiorcy. Dalej zaczyna się działalność producentów odzieżowych, także uwzględniających obowiązujący styl, lansowany najczęściej przez rodzimych projektantów. Kiedyś u nas była to „Telimena” czy „Cora”, obecnie to często ubrania produkowane przez pracowników samych projektantów np. Minge czy Rosati. Dalej zaczyna się masówka przeznaczona dla przeciętnego użytkownika, zalegająca często w małych sklepikach zwanych butikami czy na bazarkowych stoiskach. Ubrania te są tanie, z reguły kiepskiej jakości, chociaż często nie trwałość się liczy, a efekt. Innością na bazie obowiązujących trendów jest własna kreatywność i tworzenie uniwersalnej odzieży dla siebie. Mamy wówczas własny styl dopasowany do swoich potrzeb, tzn. wieku, tuszy, wzrostu, okoliczności.

Pokaż mi, co nosisz, a powiem ci, jaka jesteś

Sposób ubierania się mówi o tobie, jaka naprawdę jesteś. Obserwatorzy – psycholodzy mody uważają, że jeśli twoim ulubionym strojem jest garsonka czy kostium o klasycznym kroju, to znaczy, że ściśle chronisz swoją prywatność. Zachowujesz dystans wobec innych.

Otoczenie odbiera cię często jako osobę bez fantazji, ale godną zaufania.

Luźną, obszerną odzież noszą natomiast kobiety mające kompleksy seksualne i ceniące niezależność. Obcisły strój, tzw. drugą skórę, preferują zaś panie uchodzące za symbol seksu, spragnione ciepła i miłości.

Modna po pięćdziesiątce

Nie lada sztuką jest ubrać elegancko kobietę po pięćdziesiątce, z dużym biustem, o rozmiarze większym niż 44. Nie każda z nas ma „genetyczny przekaz elegancji” czy umiejętności właściwego doboru garderoby, aby wyglądać atrakcyjnie.

Wpływ na nasz wygląd mają rodzaje materiału, kolory i odpowiednio dobrane dodatki. Również to, czego nie widać, czyli bielizna korygująca mankamenty naszego starzejącego się ciała. Stanik: jeżeli masz nieduży biust, a chcesz pokazać kuszącą dekolt, załóż biustonosz z wysutą gąbką, która optycznie powiększy i podniesie piersi. Przy obfitym biuście pamiętaj o szerokich ramiączkach i zapinaniu z przodu. Majtki: zabudowane, z wysoką talią, spłaszczające brzuch lub podnoszące pośladki, oczywiście w odpowiednim rozmiarze. Uwaga: nie powinny być cienkie, a stringi tylko dla zgrabnych i młodych. Halka to bielizna oddzielająca wcześniejsze elementy od sukni czy spódnicy. Powinna być cienka, najlepiej jedwabna i nigdy nie powinno być jej widać spod sukni lub w rozcięciach spódnicy. Rajstopy



lub pończochy odpowiednio dobrane mogą korygować kształt bioder i nóg. Czasem należy je nosić ze względów zdrowotnych. Podkolanówek i skarpet jednak unikajmy. Są dobre dla młodszego pokolenia, nam doznań estetycznych nie dostarczają. Buty, ze względów zdrowotnych, powinny mieć okrągłe lub prosto ścięte czuby. Obcasy, ich kształt i wysokość zależą od potrzeb i możliwości zdrowotnych. Generalnie najlepiej by były proste, stabilne i niezbyt wysokie. Latem buty lekkie, przewiewne, bo to okres regeneracji nóg.

Nakrycia głowy dopasowane do pór roku. Dodają szyku, ale ważny jest ich kształt i kolor. Włosy zawsze powinny być czyste, krótkie – dobrze ostrzyżone, długie – finezyjnie związane lub upięte. Biżuteria dobrana z umiarem, dyskretna, według zasady „im mniej, tym więcej (elegancji)”.

Na zakupy, do lekarza, czyli „wyjścia”

Aktualnie mamy ograniczone możliwości tzw. „bywania”, dlatego jestem zła, że koronawirus kradnie seniorom ostatnie lata życia, pozbawiając nas bezpośredniego kontaktu z kulturą i sztuką. Udział w wydarzeniach online nie daje nam niestety takich samych wrażeń, jak słuchanie koncertu w Forum Muzyki, arii w Operze czy oglądanie spektaklu w teatrze. Choć ponoć lepszy rydz niż nic...

A ponieważ wszystko mija, starajmy się PRZETRWAĆ, ufając, że doczekamy lepszych czasów. Póki co wykorzystujmy więc ten wolny czas. Rankiem dłużej się powylegujemy, czytając w łóżku lub słuchając radia. Później poćwiczmy, próbując zmobilizować ciało do aktywności. Poranna toaleta jednym zajmuje mniej czasu, innym więcej. Następnie śniadanie, ustalenie planu dnia i jego organizacja.

Jeżeli mamy tzw. wyjście, to zgodnie z ustaleniami dla seniorów zaprezentujemy się odpowiednio do miejsca przeznaczenia. Na zakupy strój wygodny: spodnie lub spódnica, sweter, kurtka z kapturem, wygodne buty na niskim obcasie, torebka na dokumenty zwana konduktorką, oczywiście przewieszona wokół szyi, bo daje większe bezpieczeństwo przed kradzieżą niż zawieszona na ramieniu, torba na zakupy, najlepiej na kółkach, bo odciąża nasz kręgosłup. Wyjście do banku, lekarza czy urzędu – tu wybór stroju już według uznania.

Optymizm ponad wszystko!

W życiu nie chodzi o to, żeby być idealnym, tylko żeby być szczęśliwym. W dzisiejszej pandemicznej rzeczywistości to „szczęście” jest bardzo ograniczone, bo, jak ktoś powiedział, ulepieni jesteśmy z ciała, a czasem żyć musimy, jakbyśmy byli z żelaza... Ważne, aby w tym trudnym czasie umieć spojrzeć oczami drugiego człowieka na otaczającą nas rzeczywistość i wskrzesić w sobie jak najwięcej tolerancji i dobra. Wyciszyć wszelkie emocje, odnaleźć motywację do działań, które sprawią nam radość, poprawią nasz wygląd i dobre samopoczucie.

Należę do kobiet optymistycznie nastawionych do życia bez względu na plusy i minusy codzienności, co często manifestuję uśmiechem pełnym życzliwości i radości. Kocham promienne barwy życia i zawsze przeciwstawiam się nicości i bylejakości. Zachęcam do kolorowego, radosnego spojrzenia na świat i siebie, serdecznie pozdrawiając wszystkich wcześniej urodzonych! ■

Polemika

Polecam serdecznie artykuł pani Ireny Gójskiej na temat mody seniorów w czasie pandemii. Autorka porusza w nim jakże istotny w dzisiejszej sytuacji temat. Dziwi mnie jedynie, że znana mi skądinąd prawdziwa ikona stylu, tak po macoszemu i powierzchownie wypowiada się na temat, który głębokim cieniem kładzie się na życiu nas wszystkich.

Zostaliśmy zmuszeni sytuacją do izolacji. Nasze kontakty ze światem zewnętrznym ograniczyły się do absolutnego minimum. Czy jednak jest to powód, aby zacząć sobie pobażać?

„Rankiem wylegujemy się dłużej”... proszę bardzo, pod warunkiem, że ten ranek nie trwa do wieczornych wiadomości. Nasze codzienne rutyny, z czasów sprzed pandemii powinniśmy za wszelką cenę zachować i pielęgnować. Pośpię dłużej, ale kiedy już wstanę, przygotuję się do normalnego życia, nie do życia w izolacji. Toaleta – taka jak zwykle, może nie muszę nakładać wyjściowego makijażu, ale umyć się i nałożyć krem (mężczyźni obowiązkowe golenie) już powinnam. Ubiór: szlafrok, piżama i dresik – wykluczone. Ubierajmy się tak, jakbyśmy mieli za chwilę spotkać najbliższą przyjaciółkę, wygodnie, ale jednak wyjściowo. Już takie podejście do dnia codziennego da nam uczucie normalności, a przecież tak bardzo go dziś potrzebujemy. Stwórzmy więc je sobie sami. Dbając o nasz wygląd zewnętrzny.

Dygresja: dawno temu telewizja emitowała satyryczny program sylwestrowy z udziałem prezenterów, pani Loski i pana Suzina. W tym programie ich ubiory były szalenie eleganckie i reprezentacyjne – od pasa w górę. Natomiast poniżej kadru kamery (od pasa w dół) mieliśmy okazję jednorazowo podziwiać nogi pana Suzina w spodniach od piżamy i rozlażle domowe kapcie na stopach pani Krystyny. Ubawił mnie ten widok.

Nie bądźmy kabaretem, dbajmy o siebie. Jeśli nasz zewnętrzny wygląd będzie nam samym się podobał, to nasz umysł przejmie to nastawienie i zmotywuje nas do walki z przygnębieniem.

Nie będę dłużej polemizować.

Szanuję panią Irenę i jest ona dla mnie autorytetem w kwestii stylu i elegancji. Dlatego mam dużą nadzieję, że rozwinie i potraktuje poważnie temat w kolejnych publikacjach. Ja osobiście z niecierpliwością czekam na jej opinie o modzie w czasach pandemii.

Anonim Polemiczny

Plastikowa figurka z Lichenia

-wbrew prawom fizyki

Bogdan Banaś

Wiktor mieszkał na dziewiątym piętrze 10-piętrowego budynku. Od miesięcy mieszkańcy domu mieli problemy z bezdomnymi i różnymi dziwnymi osobami, które chciały tutaj przenocować. Bliskość dworca powodowała, że ilość chętnych do noclegu na strychu lub na schodach w tym budynku była znacznie większa niż w innych punktach miasta.

Skutkiem tego stała się rosnąca uciążliwość życia mieszkańców. Doszło do tego, że starsi bali się wyjść wieczorem z własnego mieszkania na klatkę schodową. Zarówno administracja spółdzielni, jak i policja byli bezradni.

Nastał wieczór. Wiktor właśnie oglądał film w telewizji, kiedy zadzwonił domofon. Jakaś pani prosiła go, aby otworzył frontowe drzwi do budynku, ponieważ domofon w jej mieszkaniu na piątym piętrze został uszkodzony. Wiktor rozmyślał wtedy o oglądanym filmie, więc machinalnie powiedział „ok” i wpuścił panią do bloku. Ale coś go zaniepokoiło i postanowił to sprawdzić.

Jak zwykle w takim przypadku chciał zobaczyć, gdzie pojedzie winda. Kiedy patrzył przez wizjer w drzwiach, zauważył, że winda przejeżdża dziewiąte piętro i jedzie wyżej. Wtedy powoli uchylił drzwi od swojego mieszkania, by usłyszeć, co zrobią

ludzie, którzy wysiedli z windy. Usłyszał kroki schodzących po schodach osób. Czyli nie byli to sąsiedzi z góry. Kiedy się zatrzymali, wyszedł na klatkę schodową i zaświecił światło. Zobaczył dwoje młodych ludzi stojących na półpiętrze przy drzwiach znajdującego się tam magazynku.

„Mięśniak” i „laska”

Mężczyzna miał ogoloną głowę i wyglądał jak ktoś nazywany przez młodzież „mięśniakiem”. Dziewczyna była młodsza i dość ładna. Wiktorowi wydawało się, że mężczyzna majstruje coś przy zamku drzwi. Wtedy zdecydowanym głosem zapytał ich, dlaczego i do kogo tu przybyli. Para nie odpowiedziała na to pytanie oraz na żadne kolejne. W ogóle nie odezwali się. Jedynie ów mięśniak dziwnie wlepił wzrok w twarz Wiktora. Milczenie intruzów i brak oznak do opuszczenia miejsca

zwiastowały niechybne zwarcie. Wiktor, widząc brak szans w ewentualnym starciu z młodszym i zapewne silnym mężczyzną, uprzedził atak. Powiedział im, że skłamali, mówiąc, że domofon na piątym piętrze jest uszkodzony. Mówił przy tym bardzo powoli i bardzo głośno, tak aby sąsiedzi mogli usłyszeć. „Jesteście kłamcami, oszustami! Proszę iść do windy i natychmiast opuścić budynek albo w tej chwili dzwonię na policję”. Po słowach „kłamca” dziewczyna zaczęła się dziwnie poruszać, jakby drżała, a jej twarz wykrzywiały co chwila różne tiki. Przez chwilę zastanawiał się, czy to jej wystudiowane miny, czy wpadła w trans. Mężczyzna nadal milczał, stojąc z nieruchomym wzrokiem utkwionym w twarz Wiktora.

Wiktor bał się, że mężczyzna go zaatakuje. Ale ten wziął dziewczynę za rękę i poszli do windy pół piętra wyżej. Obserwując zjeżdżającą windę, Wiktor nie był pewien, czy oni rzeczywiście opuszczają



źródło: Pixabay – Michael Gaida

budynek. Ale wrócił do swojego mieszkania

Pięć po północy

Niestety to nie był koniec tej historii. Jakiś kwadrans przed północą Wiktor zgasił światło i poszedł spać. Już pewnie trochę spał, kiedy coś gwałtownie uderzyło o podłogę obok jego łóżka. Obudził się szybko, wstał i zapalił światło. Wtedy zobaczył, że obok łóżka leży plastikowa figurka religijna wypełniona wodą z jakiegoś „uzdrawiającego źródła”. Ta figurka wcześniej stała na półce wiszącej na przeciwległej ścianie. Zerknął na budzik. Pięć minut po północy.

Trochę oszołomiony spojrzał na okno. Było zamknięte. Otworzył je, wyjrzał na zewnątrz, ale w świetle ulicznych lamp przeciskających się przez gałęzie wysokiego jesionu nie zauważył nic niezwykłego. Nie było wiatru.

Rozejrzał się po pokoju. Wszystkie rzeczy znajdowały się na swoich normalnych miejscach, także te wiszące na ścianach. Więc nie było trzęsienia ziemi czy przypadkowego tąpnięcia gruntu – rozumował – choć musiał wiedzieć, że we Wrocławiu jest to prawie niemożliwe. Czyli pat. Jego mózg intensywnie szukał rozwiązania tej zagadki, gonitwa myśli, chaos w głowie. I wówczas przypomniał sobie incydent z nieproszonymi gośćmi.

„666”

W jednej chwili do głowy napłynęły mu różne historie o niezwykłych wydarzeniach, które znał z przeczytanych w młodości książek przygodowych, a nawet bajek. I co robiono w podobnych sytuacjach. Przyniósł z pokoju żony flakonik schowanej do wizyty księdza wody

święconej i skropił nią dokładnie cały pokój: ściany, okno, drzwi i tę nieszczęsną figurkę, tak jak robiono to dawno temu w przeczytanym opowiadaniu. Uspokojony położył się spać.

Następnego ranka postanowił sprawdzić przy pomocy poziomicy, czy półka, na której stała figurka, nie była pochylona. Wisiała prawie idealnie poziomo.

Kiedy przed południem wchodził na strych, aby przynieść pranie z suszarni, spojrzał na te drzwi, gdzie poprzedniego wieczora stali intruzi. Na całej ich powierzchni były wymalowane czarnymi, dużymi literami znaki „666” i duże odwrócone krzyże. Okazało się, że takie same znaki pokrywały ściany wewnątrz windy. Były to symbole satanistów, satanistycznej sekty. Zresztą często spotykane wówczas na elewacjach domów. ■

Przemoc w rodzinie

Teresa Dźwigałowska

Dziewiątego listopada 2020 r., oglądając telewizję, usłyszałam i zobaczyłam, że w Zakopanem na Giewoncie został zawieszony na krzyżu banner. Widniał na nim symbol czerwonej błyskawicy i hasło „Przemoc domowa to nie tradycja”.



źródło: Pixabay – Ulrike Mai

Słucham dalej: kobiety z tamtych okolic proszą o pomoc, ze swoją krzywdą nie mają gdzie się zwrócić, urzędy, sądy, kościół milczą. Zastanawiam się, jak bardzo ważny musi być problem, jeśli kobiety wołają niebo o pomoc. Wnieść tak wysoko banner, za-

wiesić i krzyczeć – jak bardzo boli. To jest wysiłek fizyczny i niesamowita niemoc. Nie można milczeć, one cierpią, szukają pomocy.

Długo nie mogłam zasnąć. Do tej pory nie interesował mnie ten temat, żyję spokojnie w dobrych warunkach, gdzie miłość

i szacunek są codziennością, tak u mnie, jak u moich przyjaciół. Zaczęłam sobie przypominać, jak to było kiedyś i obudziły się we mnie wspomnienia, była przemoc, kobiety były bite, nieszanowane, prawo ich nie broniło. I tu przypomniały mi się zwierzenia takich kobiet.

Spotkałyśmy się w sanatorium w Wysowej, dwa pokoje dwuosobowe, tzw. studio, same wdowy. Szybko się zaprzyjaźniłyśmy, wieczorem wspólna kawa i lampka wina, bo wieczorków tanecznych nie było, było to w marcu, więc post, a Wysowa nie jest kurortem. Warunki na zwierzchnia za to idealne.

KRYSTYNA

Męża poznałam, jak byłam w internacie w liceum pielęgniarskim, mąż w technikum mechanicznym, oboje mieszkaliśmy na wsi. Po skończeniu szkoły nie było po co wracać do rodzinnych miejscowości. Postanowiliśmy pojechać na Śląsk, hotele, małe mieszkania, upragnione M4. Urodziłam dwoje dzieci. W tygodniu było dość dobrze, rano do pracy, dzieci do szkoły. Gorzej w soboty i niedziele. Mąż uważał, że więcej zarabia, to należy mu się odpoczynek, kupił działkę i tam odpoczywał, spotykając się z kolegami i pijąc. Przychodził wieczorem i zaczął wychowywać mnie i dzieci. Bił paśkiem, uciekaliśmy, zasłaniałam dzieci, jak już widziałam, że nie dam rady zasłonić, to klękałam, całowałam po rękach i prosiłam, aby ich nie bił i przyrzekałam poprawę.

Było tak do czasu, gdy syn skończył 14 lat, był dość dobrze zbudowanym chłopcem. Przygotował się, 10-letnią siostrę zawiózł do moich rodziców, wiedział, że ojciec przyjdzie pijany. Kijem bejsbolowym rozbił mu głowę, tak że mąż tydzień leżał w szpitalu. Pracowałam w szpitalu, znałam lekarza z pogotowia, ukryłam, skłamałam, że spadła szafka, nie podali na policję. Syn uciekł, szukałam całą noc, u rodziny, kolegów. Nie znalazłam go. Rano



źródło: Pixabay

porządkowałam rzekomo rozbity szafkę, wchodzę do piwnicy, a on skulony, zziębnięty, zapłakany, pyta: Mamo, co będzie, żyje? Żyje, o ta szafka na niego spadła, niech to zostanie między nami, wracaj do domu.

Mąż wrócił ze szpitala, nie pytał, syn go unikał. Na Boże Narodzenie podszedł i podał mu rękę, syn spojrzał na mnie, skinęłam, uśmiechnęłam się, podał. Nigdy od tamtego dnia nie rozmawiałam z synem na ten temat, dopiero na pogrzebie męża. Powiedział: Mamo, ten dzień pamiętam jak dziś, ale nie poprosiłem ojca o wybaczenie, zrobiłem to dla ciebie, ty mi wybaczasz, prawda?

Złożyłam zeznanie, że brał antybiotyki

Później było lepiej, mąż pił i to jeszcze więcej, ale się nie awanturował, jak było ciepło, to nie wracał na noc z działki, tylko balował. Mieliśmy każdy weekend spokojny, bywały czasami fajne dni, codziennie jedliśmy wspólnie obiady, spędzaliśmy święta, nie pozwoliłam pić alkoholu w domu. Tak było, może nie zawsze miło, ale było.

Dzieci dorosły, wyprowadziły się, zostaliśmy sami, przeszliśmy na wcześniejsze emerytury i teraz zaczął się następny koszmar. Pod rozbudowę miasta zabrano mu działkę. Libacje alkoholowe przeniósł do domu. Prosiłam, błagałam, wyganiałam biesiadników, nie pomagało.

Brakowało w przychodni pielęgniarek, zatrudniłam się, aby mieć spokój. Podczas kilkukrotnych rozmów proponowałam leczenie, podejmował próby, ale po paru dniach rezygnował, prosiłam, aby przyjmował leki, też oszukiwał. Awantury były codziennością. Zachorował, jakieś przeziębienie, dzwonił do kolegów, aby nie przychodzili grać w karty, bo ma grypę i bierze antybiotyki. To prawda, załatwiłam ten antybiotyk. Pomyślałam, że to idealna okazja, aby dać mu środek antyalkoholowy. Trzy dni wsypywałam go do picia, czwartego dnia zadzwonił telefon: Proszę przyjechać do domu, coś dzieje się z mężem, zabiera go pogotowie. Wiedziałam co. Nie jechałam do szpitala, tylko do domu, zacierać ślady. Wpadłam do domu, zabrałam szklanek z szafki nocnej, w której był ten lek, wrzuciłam ją do śmietnika

przy szpitalu. Jak się okazało, męża odwiedził kolega z pół litrem, po wódce mąż dostał zapaści, serce stanęło, brak krążenia. Złożyłam zeznanie, że brał antybiotyki. Po trzech miesiącach otrzymałam pismo z prokuratury... sprawa umorzona...

Zawsze obok, taki bankomat

Czy go kochałam? Na początku tak, nawet wtedy jak mnie bił, ale od momentu gdy syn go uderzył, to znienawidziłam męża, często myślałam, jak się go pozbyć. Nigdy nie żałowałam, że tak się stało, szkoda mi było syna, patrzył na ojca jak na śmiecia, nie rozmawiali ze sobą. Wychowałam dzieci sama, nauczyłam szacunku, miłości. On był zawsze obok, taki bankomat, przynosił pieniądze, nie wtrącał się w nasze sprawy, tak jakby nic go nie obchodziło, myślę, że bał się syna. Dopiero teraz, po jego śmierci poczułam ulgę, mam spokój, czasami myślę, że będę odpowiadać przed Bogiem za jego śmierć, przecież miałam świadomość, jakie są skutki zażywania tych tabletek w połączeniu z alkoholem. Chodzę do kościoła, ale przy spowiedzi ten grzech odkładałam na później, mam wyrzuty sumienia.

HALINA

Urodziłam się, chodziłam do szkoły podstawowej tu, blisko Wysowej, moi rodzice to Łemkowie. To taka grupa ludzi zamieszkałych w Bieszczadach – to ani Polak, ani Ukrainiec, ani Rusek, ale Łemek. Kończyłam technikum gastronomiczne, miałam chłopaka, kochaliśmy się, biedny był, bez przyszłości, nic nie miał, tak twierdził ojciec, mnie nie przeszkadzało.



źródło: Pixabay – Randall Billings

Przyjechała rodzina z Dolnego Śląska, uzgodnili z ojcem, że pojedę tam, bo lepiej można się urządzić. Nie wiedziałam, że już mają dla mnie przygotowanego narzeczonego. Było pożegnanie, płacz, obietnice. Wyjechałam, nie poszłam za biciem serca. Całe życie żałowałam, teraz to nie, skończyłam 70 lat, cieszę się tym, co mam.

Zacząłam pracować w restauracji jako szefowa kuchni, szybko awansowałam, zostałam kierownikiem, byłam ponoć ładna, wesoła i zdolna. Miałam dużo wielbicieli, ale ja czekałam na listy. Później się dowiedziałam, że nie dochodziły z innego powodu, nieważne. Mój przygotowany kawaler czekał w pogotowiu, był gajowym w pobliskich lasach. Przywoził grzyby, dziczyznę, jagody. Był miły, nienachalny, tylko się uśmiechał, lubiłam go, spełniał moje zachcianki.

Masz wszystko, o co ci chodzi?

Zaczęły się spotkania, wyjazdy, wreszcie zaręczyny, wtedy myślałam, że go Kocham, był dla mnie naprawdę dobry. Wzięliśmy ślub, a mój kochany awansował na leśniczego. Piękna leśniczówka, dom urządzony, wszystko gotowe na dobrą gospodynię. Zdawałoby się, że wygrałam

los na loterii, a ja wraz z cnotą straciłam wolność. O pracy nie było mowy, dwa kilometry od najbliższych zabudowań, a do szkoły czy kościoła osiem. Las, cisza i wszystko co do życia potrzeba. To było nie dla mnie, czułam się nieszczęśliwa, ale jak zaczęły się rodzić dzieci, nie miałam czasu zastanawiać się. Mąż należał do partii, dlatego tak szybko awansował, był miły dla wszystkich, aby się przypodobać zapraszał na polowania, różne zakrapiane imprezy, goście byli zachwyceni moimi kulinarnymi zdolnościami. Pili, jedli, bawili się, a ja gotowałam, sprzątałam i uśmiechałam się, bo tak trzeba, bo to ważny gość.

Rozmawiałam z mężem, że mam dosyć, że jestem tym wszystkim coraz bardziej zmęczona. Nie docierało do niego, masz wszystko, o co ci chodzi, nie rozumiał. Najgorsze jednak było dla mnie, że razem z nimi pił i jeszcze jak się napili, jechali gdzieś na dziewczyny, a często przywozili je do domu na nocleg. Napił się, napatrzył na orgie, nabierał wigoru, rzucał się jak zwierzę, po prostu mnie gwałcił. Byłam rozgoryczona, nie raz wyrzucałam go z domu, ale on krzyczał, że się zabije i pijany chciał jechać, wtedy ja zabierałam kluczyki i prosiłam, przepraszałam, stawiałam się uległa. Taki cyrk odbywał się coraz częściej, myślałam, że takie zachowanie sprawia mu przyjemność, że czasami udaje bardziej pijanego niż był, żeby mnie upokorzyć.

Zapałam lampkę, bo tak trzeba

Pewnej nocy, a właściwie nad ranem, nie przepraszałam, nie prosiłam, nie zabierałam kluczyków, spokojnie leżałam, udawałam, że śpię. Wy-skoczył z domu, biegał boso w piżamie, krzyczał, że się

zabije, nikt nie słyszał, bo dom pełen pijanych ludzi, nikt go nie zatrzymywał. Wsiadł, rozpędził auto i na najbliższym drzewie rozbił się. Były zeznania, prokurator, kondolencje. Zapamiętałam „taki porządny człowiek, taki uczciwy, tak bardzo panią kochał, chyba brakuje go pani, tęskni pani”, ja natomiast myślałam: Pan Bóg się zlitował. Przeżyłam z nim 35 lat, wychowaliśmy czworo dzieci, mamy wnuki. Gdy stoję przy pomniku i zapalam lampkę, bo tak trzeba, to dziękuję Bogu, nie spowiadam się z tego, nie proszę o przebaczenie. Czasami zastanawiam się, czy to morderstwo, bo nie pomogłam, nie zareagowałam, a na to liczył. Przyczyniłam się do śmierci, ale dziwne, nie mam wyrzutów sumienia, czuję się spokojna.

REGINA

Mam 73 lata, od dziesięciu lat jestem wdową. Mieszkam dalej w tym mieszkaniu, w którym byłam szczęśliwa, żyłam w biedzie, w luksusie, byłam chora, nieszczęśliwa, zrozpaczona, czułam bezradność. Wszystko to było w jednym miejscu, nic nie zmieniałam, każdy mebel,

kąt, ściana przywołują wspomnienia, od miłości do nienawiści.

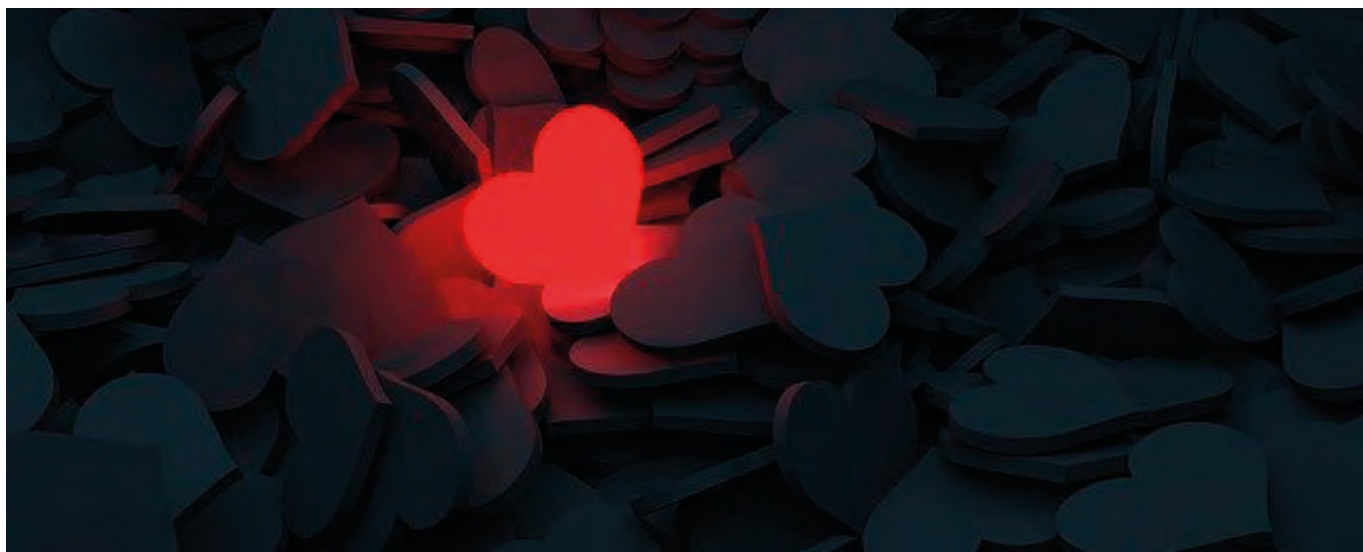
Urodziłam się w rodzinie zamożnej, jak na lata międzywojenne, wiele nie pamiętam, więcej z opowieści mamy i jej zachowania. Do szkoły chodziłam najładniej ubrana, uczesana, czułam, że dzieci nie za bardzo mnie za to lubiły. Później się zorientowałam dlaczego. Mój ojciec przed wojną pracował w policji, a po wojnie szybko zmienił opcję i został ważnym urzędnikiem w tutejszym urzędzie. Mieszkanie zostało nienaruszone. W czasie wojny mama mówiła: tatuś wie, co robi, potrafi o nas zadbać. Nie interesowało mnie wtedy nic. W domu odbywały się różne uroczystości zakrapiane alkoholem, mieliśmy zawsze jakieś dziewczyny do gotowania, sprzątania. Od małego dziecka uczestniczyłam w tych libacjach, były śpiewy, tańce i goście w różnym wieku,

Nie krzycz, bo tatuś będzie miał kłopoty

Miałam 15 lat, wypłam zbyt dużo, poszłam do sypialni, za

mną przyszedł pan major, zaczął mnie rozbierać, zdjął spodnie, zaczęłam krzyczeć. Przyszła mama i mówi: nic ci się nie stanie, w ciążę nie zajdziesz, bo miałaś okres w tym tygodniu, a mnie on nie chce, znudziłam się mu. Nie krzycz, bo tatuś będzie miał kłopoty, będzie dobrze.

Był delikatny, a ja byłam pijana, utulał mnie kołdrą i śpiewał kołysankę. Gdy się obudziłam, wszyscy spali, w domu porządek, myślałam, że to sen, ale czerwona plama świadczyła, że coś się stało. Nie czułam odrazy mimo lekkiego bólu w podbrzuszu. Poczułam za to niesamowitą chęć powtórzenia, namiętność ogarnęła wszystkie moje zmysły, nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. I tak zaczęła się moja przygoda z seksem. Nie musiałam ukrywać się ani bać się rodziców, sami o to zadbali, kupowali mi piękne stroje, jeździłam z nimi na wczasy do Bułgarii, Jugosławii, a panowie zabierali mnie na różne eleganckie uroczystości. Do szkoły nie chodziłam, mam ukończonych dziesięć klas, matury nie zdawałam, trudno było przekupić komisję egzaminacyjną. Zmieniły się czasy, zaczęły się



źródło: Pixabay

źródło: Pixabay – Agnall



jakieś zmiany w urzędach, ojciec stracił swoje wysokie stanowisko.

Postanowili mnie dobrze ożenić. Tatuś zaprosił na kolację kilka osób, był wtedy ON, młody, przystojny, zabawny i bardzo mną zainteresowany. Po kilku spotkaniach, podczas kolacji poprosił rodziców o moją rękę. Oczywiście nie było sprzeciwu. W najlepszej restauracji wyprawiono wesele. Mój „wybrany” szybko awansował, został komendantem milicji w powiecie. Ja nie pracowałam, urodziłam dwóch synów, w wychowaniu ich pomagała mi mamusia. Prowadziłam otwarty dom, organizowałam spotkania towarzyskie. Wtedy naprawdę czułam się szczęśliwa, dobrze ubrana, z manierami nabytymi z domu, uwielbiana, podziwiana. Mąż zakochany, obrzucał mnie prezentami i kwiatami. Wszystko to działa się pod wpływem alkoholu. Już z pracy wracał pijany, często z pijanymi kolegami i dopijali w domu, nie panowali nad zachowaniem, kłótnie, jakieś niewyjaśnione sprawy w pracy przenosili do mojego domu,

była wówczas zmiana władzy centralnej.

Bądź miła dla niego

Najpierw zmarł mój ojciec, chorował tylko tydzień, po tej śmierci matka straciła chęć do życia, zaczęła chorować, nie miała siły zajmować się chłopcami. Wszystkie obowiązki spadały na mnie, a ja nic nie potrafiłam, ani ugotować, ani zająć się dziećmi czy chorą matką. Zaczęły się kłótnie, wyzwiska, później i bicie, stawiałam opór, więc razy były z dwóch stron, ale później, po awanturze, kochaliśmy się. Lubiłam zabawy, piłam, choć nigdy sama. Nawet podobało mi się, jak przychodził z pijanymi kolegami, piłam z nimi, nie raz kochałam się z nimi. Myślałam, że mąż nie wiedział. Pewnego razu przyprowadził do domu kogoś ważnego z województwa, w mundurze milicji, dystynkcje pułkownika. Bądź miła dla niego, od niego zależy, czy będę miała pracę, powiedział. Byłam miła wtedy i jeszcze przez jakiś czas, mąż wychodził, wracał pijany. Od tamtego czasu nie

kochaliśmy się, tylko piliśmy i kłóciliśmy. Zmarła moja mama. Na pogrzeb przyjechali rodzice męża, nie bywali u nas, nie pasowali do naszego pańskiego towarzystwa, my też nie jeździliśmy do nich. Najbardziej znali nasze dzieci, ponieważ wakacje i wolne od szkoły spędzały u nich na wsi. Chłopcy chodzili do liceum. Po pogrzebie dowiedziałam się, że teściowie przeprowadzają się do naszej miejscowości, przeszli na emeryturę i kupują tu dom.

Sama w wielkim domu

Matkę pochowałam, chłopcy wyprowadzili się do dziadków. Zostałam sama w wielkim mieszkaniu bez żadnych obowiązków, coraz częściej odwiedzali mnie panowie i panie, które też się nudziły, mój dom stał się domem rozrywki. Takie życie prowadziliśmy przez jakiś czas, zabawy, wyjazdy, tańce, alkohol. Pewnego dnia, to było, gdy wybuchł strajk w Gdańsku, milicjanci zostali oddelegowani w różne miejsca. Zostały właściwie same kobiety, piłyśmy dużo, z pijackiego amoku obudziłam się na łóżku w szpitalu, miałam udar. To dlatego utykałam na jedną nogę i lewa ręka też nie jest sprawna. Leżałam w różnych szpitalach, sanatoriach przez prawie dwa lata. Byłam przecież żoną komendanta milicji, dostawałam wszystko co najlepsze i udało się mnie jakoś przywrócić do normalności. Przez ten czas miałam szansę żyć w trzeźwości i zastanowić się nad życiem. Chłopcy nie odwiedzali mnie, czasami zadzwoniła teściowa, od niej dowiedziałam się, że syn zdał maturę, dostał się na studia. Mąż czasami mnie odwiedzał, przeważnie był pijany i zawsze się spieszył. Mówił, jakie czasy, nie znam dnia ani godziny, sam nie wiem komu służę, dobrze, że żyję.

Dom, czyli melina

Wróciłam do domu, właściwie do meliny, brudno, pełno butelek, w dwóch pokojach spały jakieś dziewczyny z facetami. Łazienka cała zavalona brudnymi ubraniami. Nie miałam siły oponować, jedno wiedziałam, że nie mogę pić, bo czeka mnie kalectwo. Miałam przydzieloną opiekunkę socjalną i pielęgniarkę. Mąż zjawił się po dwóch dniach, tłumaczył, że za tych lokatorów płaci milicja i to dużo, więc nie mam co marudzić, bo pieniądze są potrzebne, utrzymanie synów, moja choroba, to wszystko kosztuje, mam swoją sypialnię i to mi powinno wystarczyć. W zasadzie nic nie miałam do powiedzenia, byłam kaleką zdaną na obsługę innych. Jako kobietą nie zainteresował się, nawet nie pocałował na przywitanie, płakałam, gdy zaczął przyprowadzać do swego pokoju jakieś kobiety, urządził libacje, mnie zamykał dodatkowym kluczem, wstawiając nocnik.

Cierpiałam bardzo, nienawiść wzrastała z dnia na dzień. Jak wchodził do domu, sama się zamykałam, nie chciałam go widzieć. Miałam dużo czasu, na spacerach nikt nie chciał ze mną rozmawiać, sąsiedzi udawali, że mnie nie znają albo nie poznają. W Polsce czasy niepewne, trudno było o wszystko, ja miałam, co chciałam, zaopatrzenia dokonywała moja opiekunka socjalna, kartki na żywność i bony towarowe do Peksu otrzymywała od męża.

Wołał „wody”, dostawał wódkę

Nagle zaginął mąż i lokatorzy, tak było chyba ze dwa tygodnie. Na noszach go przynieśli i położyli w jego sypialni. Okazało się, że dostał padaczkę poalkoholową, nie mógł chodzić, dostał opiekunkę, moją

zwolnili, twierdząc, że sama mogę o siebie zadbać. Wtedy opętała mnie myśl, że moje życie tak wygląda z winy męża i to on powinien ponieść karę, a nie ja. Zaczęłam o siebie dbać, zaprzyjaźniłam się z opiekunką, wspólnie robiłyśmy zakupy, jeszcze gdy rodzice żyli, mieli konta dolarowe, mąż też miał swój schowek. Jak bełkotał „wody”, to wlewałam mu 25 gram wódki, choć czułam, że z tymi lekarskawami nie przyniesie mu ulgi, bo zamiast zdrowieć popadał w gorszą niemoc. Zawsze się starałam, aby w domu nie zabrakło alkoholu. Opiekunka też się czasem napiła, nawet trochę u mnie mieszkała, ale ona nigdy nie dała mężowi wódki i była przekonana że mąż jej nie dostaje, chociaż bardzo prosił. Ja piłam mało, symbolicznie, bałam się choroby.

Ten szal boa to prezent od męża

Pewnego wieczoru dostał drgawek, nie mogłam ich powstrzymać. Gdy spadł z łóżka, wezwałam pogotowie. Został w szpitalu, odwiedzałam go i gdy się dało, dolewałam wódkę. Trwało to tak może dwa tygodnie, nagle telefon: Pani mąż zmarł, miał wylew. I znów zostałam sama, chora, w pustym domu. Synowie nie chcą ze mną mieszkać, nie odwiedzają mnie. Pomagałam im finansowo poprzez teściową. Dostali nowe mieszkania i jeszcze mąż upoważnił ich podczas mojej choroby do tych kont dewizowych.

Ten szal boa, który ze mną wszędzie jeździ i teraz też, w tym sanatorium go mam, to prezent od męża, dał mi go, jak urodziłam drugiego syna, dziękował, że daję mu tyle szczęścia, że jestem jego królową. Wtedy naprawdę byłam szczęśliwa, kochałam go

bardzo. Nie wiem, dlaczego tak się później znienawidziłyśmy. Zastanawiam się, czy ja odpowiadam za jego śmierć, czy on sam.

Przeżyłam życie, chyba przez alkohol, on zawładnął moim umysłem i sumieniem, zabrał mi wszystko: miłość, macierzyństwo. Mam takie poczucie, że w naszym życiu ofiarami byliśmy razem, nie było przemocy. ON wygrał, bo zmarł, a ja żyję z wyrzutami sumienia, walczę z chorobami, nie mam przyjaciół i nie mam miłych wspomnień, tylko ten koszmar. Koszmar, bo byłam świadoma, że dolewając alkohol do lekarstw męża, doprowadzę do zatrucia. Ale wtedy chciałam się go pozbyć i być sama. Uczucie nienawiści jest straszne, człowiek myśli jak opętany.

Nieme prawo

Wspomnienia trzech kobiet, które wychodzą za mąż, kochają swych mężów, wychowują dzieci, chcą normalnie żyć, ale ich życie, układy, uzależnienia nie pozwalają. Wtedy nawet nie wiedziały, że można to zmienić, że ktoś może pomóc. Jedynym rozwiązaniem była śmierć. Od tamtych historii minęło 50 lat i nic się nie zmieniło, przemoc domowa wciąż jest tematem tabu, kobiety dalej nie mogą spokojnie żyć, prawo ich nie chroni, a sądy chcą dowodów w postaci obdukcji.

Zniewolona, nieszanowana kobieta woła o pomoc, wnosząc banner na Giewont, ale spotyka się z opinią publiczną, że to „nieszanowanie krzyża poświęconego”.

Jakoś nie mogę tego zrozumieć – XXI wiek, sięgamy po kosmos, a przemoc nadal króluje, prawo się nie zmienia, staje się jeszcze bardziej nieme na krzywdę słabszych. ■



źródło: Irena Kawczyńska

Mamo, kupiłam ser „ulubiony”, pieczemy sernik?

– Dobrze, ale pieczesz ty. Tu jest malakser, tortownica (22 cm średnicy), wyłożę ją papierem, brzegi wysypię tartą bułką.

Kado, leżeć! Nie płacz się między nogami, bo cię uszkodziemy – upomina szczeniaka.

Po prostu sernik

Beata Chłap

– A więc do dzieła – mówi Ania. I szykuje:

6 żółtek,

200 gr cukru – utarte,

750 gr sera – wymieszane,

1 ugotowany ziemniak,

1,5 łyżki mąki ziemniaczanej,

1,5 łyżki mąki pszennej.

Jeszcze tylko bakalie:

skórka pomarańczowa,

żurawina

i piana z 6 białek.

Delikatnie mieszamy. Sernik ładuje w piekarniku nagrzanym

do 170 stopni. Piecze się około godziny. Próba patyczkiem, już prawie upieczony. Jeszcze dekoracja – polewa czekoladowa. I gotowe.

Teraz trzeba poczekać na wystygnięcie. Ania ustawia ciasto na stołku w kuchni przy uchylonym oknie i siada przy komputerze. Czas na zdalne ćwiczenia. Mama wraca do książki.

Po skończonych ćwiczeniach Ania idzie do kuchni, a tam pełnia szczęścia – merdający ogonek, czekoladowy pyszczek i... pół tortu.

Ania zastyga, a mama śmiejąc się, mówi: – Sernik fatamorgana!

Zupa na ścierce czyli ze wspomnień nieuważnej kucharki

Ewa Alfut

Bardzo lubię kuchnię. Mam na myśli miejsce w mieszkaniu. Zazwyczaj jest ona sercem domu. To stąd snują się smakowite zapachy, słysząc gwizd czajnika oznajmujący, że woda na kawę już gotowa. Niegdyś, za czasów pieców węglowych, z niej zawsze rozchodziło się przyjemne ciepło, przez fajerki uśmiechały się płomyki ognia, można było na płycie kuchennej piec plasterki ziemniaków czy podplomyki z odkrawanego z placka na makaron kawałka ciasta. Tu grało się w gry planszowe z dziadkiem, zaglądało w otwarty popielnik i słuchało bajek mrugającej iskiereczki...

Od zawsze lubię to miejsce w mieszkaniu. Jednak kuchnia głównie kojarzy się z przygotowywanymi smakowitościami, obiadowymi i nie tylko. O, z tym już trochę gorzej. Kucharką jestem dość dobrą, jednak przyznaję, że gdy tylko można, czas poświęcony gotowaniu ograniczam do minimum, szczególnie od chwili, gdy dzieci wyfrunęły z domu. Woleę poczytać dobrą książkę.

Niestety, zdarzały mi się rozmaite kuchenne wpadki, tak jak ta

z ciastem, które wszystkim się udaje. Wszystkim, ale nie mnie, bo zapisując dyktowany przepis, zamiast napisać „3 łyżki sody”, napisałam „3 łyżki wody”, a na wodzie ciasto nie wyrośnie.

Są jednak momenty, gdy bardzo się staram. Zazwyczaj jest tak wtedy, gdy mają przyjść goście, a szczególnie, gdy na obiad zapowiedzą się dzieciaki. I nie wiem, jak to się dzieje, że czasem, gdy się bardzo staram i bardzo chcę, by było pysznie, jakiś chochlik namiesza w garnkach i nie wychodzi.

Na długo zapamiętam „zupę ze ścierki”, dosłownie, nie w przenośni. Wymyśliłam na obiad barszcz ukraiński, zupę czasochłonną i wymagającą wielu składników. Do tradycyjnych dodałam jeszcze szczyptę serca, by smak był lepszy. Niedługo jednak okazało się, że nie tylko serca...

Jakoś tak pod koniec gotowania po raz kolejny podniosłam pokrywkę, odłożyłam na zlewozmywak, zamieszałam w garnku, popróbowolałam, stwierdziwszy, że nie jest źle i przykryłam garnek ponownie.



źródło: Pixabay – ivabalk

Zupa „dochodziła”, a ja rozejrzałam się za ściereczką, która zazwyczaj leżała gdzieś na zlewozmywaku. Nigdzie jej nie było, ale już tak mam (co zawsze bawiło moją córkę), że różne ściereki rozsiewam w trakcie sprzątania po całym domu, więc i tym razem stwierdziłam, że gdzieś ten zmywak zawlokłam.

Jakież było moje zdumienie, gdy po kolejnym zajrzeniu do gotującego się barszczu znalazłam w garnku gotujący się na czerwono zmywak! Okazało się, że gdy poprzednio odkładałam pokrywkę na zlewozmywak, nie zauważyłam, że leży tam ściereczka. Przykleiła się ona do pokrywki i gdy nakryłam garnek, wpadła do zupy.

Nie mogłam podać gościom wywaru ze ścierki, płakałam nad tym barszczem ukraińskim z żalu i bezsilności. Musieliśmy się obejść smakiem, a rodzina i znajomi zyskali kolejną anegdotkę z cyklu „Ewa gotuje”.

Nie samym chlebem człowiek żyje

Maja Garczyńska

Myślę, że większość się zgodzi i przyzna, że okres pierwszej młodości mamy już za sobą. Teraz należałoby zadbać, aby wzruszenia nie ograniczały się do „wzruszenia ramionami”, a uniesienia nie były jedynie „uniesieniem łuków brwiowych”. Pandemia, siedzenie w domu na pewno nie poprawiły naszej formy.

A że nie samym chlebem człowiek żyje, należy pomyśleć o innym wspomaganiu naszego wyglądu. Mam sprawdzone metody.

Oto przepis na eliksir młodości.

Zdobądź gałązkę koralowca, nasiona migdałowca, korzeń żeńszenia i ziele jałowca.

Stojąc w wannie, ucieraj starannie. Zalej sokiem z liści Gingo Biloba, dodaj pół szklanki śluzu ślimaka i odstaw na tydzień. Po czym przecedź przez gazę i pij rano przed śniadaniem. Na efekty długo nie będziesz czekać.

Proces starzenia na pewno będzie spowolniony, jeżeli przyrządzisz drugą niezawodną miksturę.

Należy wziąć:

Trzy łuski z krokodyla, jedną pestkę z daktyla, cztery jaja przepiórki i pięć włosków z wiewiórki.

To wszystko ucieraj w makutrze przez godzinę albo dwie. Dodaj dziesięć kropli rosy z liścia paproci i zostaw na miesiąc. Pij trzy razy dziennie przed posiłkiem.

Serdecznie polecam, pandemia się skończy, przyjdzie wiosna, lato, a my w blasku ruszymy z nową energią na podbój świata. Mamy przecież dużo do nadrobienia.

Wierzysz, nie wierzysz, spróbować warto!

Śledzikowy przekładaniec

Ewa Konigsman

Ztego przepisu korzystam od ponad 20 lat. Ukazał się on w ówczesnym dzienniku „Wieczór Wrocławia” lub „Słowo Polskie”. Autorka podała, że znalazła ten przepis u swojej mamy w starej kolorowej gazecie. Zaintrygował mnie dopisek, że śledzie okazały się tak pyszne, że po kilku godzinach od ich zrobienia autorka zaraz po spróbowaniu prawie połowę zjadła od razu. Pomyślałam, że trochę przesadza, ale u mnie było podobnie, kiedy na składkowe spotkanie, na które należało przynieść jakiś przysmak, zaoferowałam śledzikowy przekładaniec.

Zgodnie z przepisem – żeby produkty się przegryzły – należy je przyrządzić minimum 24 h wcześniej i tak też robiłam. Po paru godzinach spróbowałam, potem kolejny raz i nagle zobaczyłam, jak bardzo zmniejszyła się ilość! Przed kompromitacją uratowało mnie dokupienie produktów w pobliskim sklepie.

Przepis jest średnio praktyczny, ale dla smakoszy śledzika nie stanowi to problemu.

Potrzebne produkty

(na około 5-6 małych porcji):

Płaty śledziowe – 50-60 dkg,

Cebula – 4 szt.,

Suszone śliwki – 30 dkg,

Suszona żurawina – około 20 dkg,

Rodzyнки (niekoniecznie) – 10 dkg,

Oliwa z oliwek – 0,25 l (ćwiartka),

Pieprz lub imbir – nie za dużo, zgodnie z upodobaniem ostrości

Naczynie koniecznie z bardzo szczelnym zamknięciem

Jeżeli mamy płaty śledziowe słone należy je wymoczyć. Najpierw blanszuję cebulę, żeby się wystudziła. Śliwki (gotowe śliwki muszą być w lodówce), żurawinę i rodzyńki przelewam wrzątkiem i też studzę. Płaty kroję ukośnie na 1 cm, śliwki też w cienkie paseczki. Przed blanszowaniem cebulę kroję w cienkie piórka. Jak ktoś woli, można w kostkę.

I teraz kolejność. Dno naczynia dokładnie przykrywam cebulą, lekko posypuję świeżo zmielonym pieprzem lub im-



birem w proszku – to już wedle własnego smaku, następnie układam dwie warstwy pasek śledziowych, na to śliwki, żurawinę i ewentualnie rodzyńki. Czynność powtarzam do wyczerpania zapasów, z tym że na górnej warstwie musi być cebula odrobinę potraktowana pieprzem. Całość zalewam oliwą i bardzo szczelnie zamykam pojemnik. Jest to konieczne, ponieważ oliwa nie pokryje w całości produktów, więc żeby górna warstwa nie była sucha, należy pojemnik kilkakrotnie odwracać dnem do góry i na około 3 godziny przed podaniem powinien tak pozostać.

A potem z przyjemnością obserwuję, jak moje przekładane śledziki jako pierwsze znikają na suto zastawionym stole.

Życzę smacznego.



Jeremi Przybora

wspomnienie

Alicja T. Pawlik

Któż nie zna nazwiska Jeremi Przybora. Któż nie oglądał i nie słyszał o wspaniałych, dzisiaj kultowych, telewizyjnych spektaklach Kabaretu Starszych Panów (emitowanych w okresie od 16 października 1958 do 22 lipca 1966)?

Panowało powszechne uwielbienie dla tego kabaretu, którego współtwórcami byli Jeremi Przybora, poeta pisarz, satyryk i aktor, autor niezliczonych tekstów piosenek i skeczy oraz Jerzy Wasowski, kompozytor, dziennikarz radiowy i reżyser. Duet ten wraz z całą plejadą znakomitych aktorów-wykonawców dostarczał mnóstwo radości i wzruszeń w oglądaniu i słuchaniu najwyższej próby tekstów literackich, poezji śpiewanej, finezyjnej, żartobliwej, ale też lirycznej.

„Przybora – mistrzowskie połączenie piosenki lirycznej i żartobliwej. Mistrzostwo polega na tym, że nie widać szwów” – mówiła o nim Wisława Szymborska.

W każdym kolejnym spektaklu Starsi Panowie – Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski we frakach, w cylindrach, z kwiatkiem w butonierkach, śpiewali z wdziękiem:

„I znaleźliśmy się w wieku
– trudna rada –

że się człowiek przestał
dobrze zapowiadać.

Ale z drugiej strony również
cieszy się –

że się również przestał
zapowiadać źle.

Starsi Panowie, Starsi Panowie,
Starsi Panowie dwaj!
Już szron na głowie,
już nie to zdrowie,
a w sercu ciągle maj.

I ta trwoga, i ta trwoga
– trudna rada –

że się nie wie, czy się człowiek
dla dam nada.

Ale z drugiej strony z chwili
takiej wdzięk –

gdy rozwieje dana dama taki lęk!
Trudna rada
– jeśli chodzi o karierę,
to nie będzie – już nie będzie
się premierem.

Ale z drugiej strony weźmy
– co tu kryć –
jak to długo trzeba tym
premierem być.

Za granicę raczej już nas
nikt nie wyśle –
zostaniemy, trudna rada,
my przy Wiśle.

Ale z drugiej strony też się
cieszy człek –
z geografii znając gorszych
parę rzek. “

Jeremi Przybora był twórcą wszechstronnym, oprócz popularnych piosenek i skeczy pisał libretta i teksty do spektakli teatralnych i muzycznych, napisał kilka książek oraz przekładał klasyczną literaturę dziecięcą.

4 marca minęło 17 lat od śmierci Jeremiego Przybory. Niech wybrane teksty* przypomną nam tego wspaniałego Twórcę:

Odjadę z tego peronu

za parę krótkich lat,
gdy jesień płachtą czerwoną
do drogi da mi znak.
Z niedużym wsiadę bagażem
do jednej z pierwszych klas,
bo będę już dygnitarzem
lub ulubieńcem mas.
Nie będzie za mną żrenic
patrzących z żalem w dal.
To dobrze, bo i mnie nic
nie będzie jechać żal.
Nie będzie jechać żal.

Odjadę z tego peronu
za parę krótkich lat
gdy jesień złoto z jesionów
wytopi akurat.
Na małą po mnie stacyjkę
dziewczyna wyjdzie, co
dziewczeta inne to przy niej
zupełnie zwykłe są.
Bukieciak da mi kwiatków,
czym wzruszy mnie do łez,
i cicho szepnie: „Dziadku,
to fajnie, żeś już jest”.

Smutny deszcz

Choć w dali niebo jeszcze
się niebieszczy

– Smutny deszczu sobie mży.
Ten facet, z którym szłaś,
to znów był Grzeszczyk
– Smutny deszczu sobie mży.

Podobno ryb łowienie nerwy leczy,
Więc łowie ryby, lecz coś z tego, gdy
Nie trafia się szczupaczek
ani leszczyk

– Smutny deszczu sobie mży

.....

W tej rzece chyba
wcale nie ma leszczy

Głęboka za to i ciekawe, czy...

Potrafi pływać w palcie
taki Grzeszczyk

– Smutny deszczu sobie mży.

.....

Unikać raczej powinienem deszczu
I ciebie, bo tak jak mi szkodzisz ty

– To tobie może szkodzić tylko
Grzeszczyk

– Smutny deszczu sobie mży

Bez Ciebie

Bez Ciebie jestem tak smutny
jak kondukt w deszczu pod wiatr

Bez Ciebie jestem wyzutny
z ochoty całej na świat

Bez Ciebie jestem nieładny

bez żadnej szansy u pań

Bez Ciebie jestem bezradny

jak piesek co wypadł z sań

Bez Ciebie jestem za krótki

na długą drogę przez świat

Bez Ciebie jestem malutki

i wytłuc może mnie grad

Bez Ciebie jestem tak nudny

jak akademicka cześć

Bez Ciebie jestem tak trudny

że trudno siebie mnie znieść

Bez Ciebie jestem niepełny

jak czegoś ćwierć albo pół

Bez Ciebie jestem zupełny chomąt
łachudra i wół.

* Fragmenty całości utworów

Jerzy Antczak

wspomnienie

Ewa Konigsman

Bez reszty pochłonięła mnie najnowsza książka Jerzego Antczaka „Jak ja ich kochałem”, wydana w 2020 r. Na odwrocie okładki czytamy, że „... wspomnienia reżysera filmu «Noce i Dnie» spisane z okazji 90. urodzin, tworzą niezwykle osobistą księgę życia wielkiego artysty”. Sam autor zaznacza: „Piszę te wspomnienia u schyłku moich dni. Motywem jest wyznanie miłości tym, których kochałem. Nic już nie odmieni łańcucha wydarzeń, które ułożyły się w mój los... Jak archeolog grzebiący się w ruinach próbuję ożywić umarły świat, u kresu drogi zebrać pozostałe strzępy i ocalić od zapomnienia to, co poszło w chmury”.

Sposób, w jaki autor „ocala od zapomnienia”, jest

niepowtarzalny, a liczba osób ogromna. Zdumiewa niezwykle pamięć o każdej wspomnianej postaci. Z niespotykaną precyzją Jerzy Antczak „maluje” rysopisy i charaktery. Każdego z osobna rozpieszca całą gamą ciepłych i czułych słów, zwraca się z wielkim szacunkiem do żony i całej rodziny. Są też osoby, których – z uzasadnionych powodów – do przyjaciół zaliczyć nie można. Jest ich niewielu i stanowią niechlubny margines.

Na szczególną uwagę zasługuje również dar okazywania miłości zwierzętom. Autor nie ukrywa rozpacz i łez po śmierci domowych pupilów. Przy tym dobitnie podkreśla, że słowo „umierać” nie jest zarezerwowane wyłącznie dla ludzi – tylko w dwóch

„Są książki, które się czyta.

Są książki, które się pochłania.

Są książki, które pochłaniają czytającego”.

Maria Pruszkowska

językach używa się określenia, że zwierzę „zdycha” – w polskim i rosyjskim. W innych krajach mówią, że zwierzę umiera. Z tym poglądem zgodzą się nie tylko właściciele kochający swoje pupile, lecz wszyscy miłośnicy zwierząt.

Pasjonatom pięknego słowa gorąco i z pełnym przekonaniem polecam tę książkę, cytując fragment recenzji: „... jest to szczególnie i barwny, pełen zabawnych anegdot i poważnych rozterek zapis Jęgo drogi, a przez to życia, dokument historii polskiej sceny filmowej i teatralnej od lat 50. do współczesności”.

Dodam jeszcze, że unikatowe zdjęcia i liczne ilustracje to nieodłączne elementy upiększające to wspiane dzieło.

„Tekściarze”

Irena Kawczyńska

Znamy poezję uznanych klasyków, jesteśmy z nimi od szkoły podstawowej. W nastoletnim wieku wyznawaliśmy uczucia słowami z Jasnorzewskiej, Gałczyńskiego i innych. Czytaliśmy wiersze Tuwima, Brzechwy dzieciom do snu.

Poezja nie jest dziedziną literatury powszechnie lubianą i poszukiwaną na półkach księgarń, to kwestia upodobań literackich. Ale zdaje się, że niemal wszyscy znamy ją z popularnych piosenek, bowiem wielu wykonawców wykorzystuje wiersze poetów w swojej działalności artystycznej.

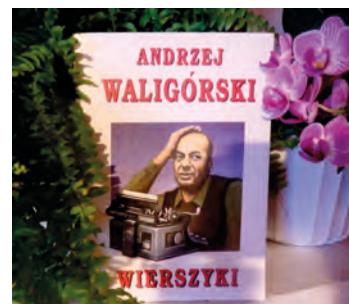
Piękne wiersze pisali Agnieszka Osiecka, Jonasz Kofta, Jan Kaczmarek, Jacek Cygan czy Wojciech Młynarski. Mówi się o nich „tekściarze”. Owszem, tworzyli hurtowo teksty do

muzyki dla piosenkarzy, ale i dla siebie, jak wspomniany W. Młynarski i J. Kaczmarek.

Lubię wiersze księdza Jana Twardowskiego, przemawiają do mnie jego refleksje i obserwacje. Lubię też Asnyka.

A na przykład Waligórski? Dziennikarz, radiowiec, niemal każdy zna go jako satyryka i prześmiewcę, a pisał również romantyczne przemyslenia o życiu. Mam taki zbiór.

Bardzo lubię Andrzeja Poniedziałkiego, także satyryka i dzisiaj dam przykład jednego z jego wierszy.



źródło: Irena Kawczyńska

„Pół życia”

*Pół życia schodzi nam
na ustalaniu
czy diabli
czy anieli
kluczyk do szczęścia mają.*

*Drugie pół życia
Próbujemy
ustalić, gdzie oni go chowają
i kiedy już podejrzewamy
gdy nam go czasem pożyczają
kiedy znowu: „można by”, „znów”,
„od nowa” –
– zaczyna się
Trzecia połowa.*



Na zdjęciu zespół redakcyjny „Agory Seniora”.

**Od lewej: Irena Gójska, Ewa Alfut, Teresa Dźwigałowska,
Maja Garczyńska, Beata Chłap, Ewa Konigsman.**

**Od prawej: Bogdan Banaś, Alicja T. Pawlik, Aleksandra Wrzos,
Leszek Labocha, Magda Wieteska, Maria Hensel-Halinowska, Anna Goik**